

odgłosy



35 (528)
31. VIII. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. Lucjan Janczak

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

Potrzeba pamięci

Na początku była pamięć. O przodkach, naddziadach, plemienu. Gdy należało pamiętać więcej niż mogło się zmieścić w głowie, zrodziła się historia. Jeszcze nie ta pisana, lecz pamiętana i powtarzana, mówiona. Współczesny badacz dziejów Czarnego Łądu powiada, że jeszcze dziś „bardzo wielu afrykańskich dynastów utrzymuje przy sobie specjalistów, którym powierza niejako pamięć czynów własnych i czynów przodków”. Tradycjonalista — bo tak się zwykło go nazywać — jest niepiśmiennym historykiem rodu swego pana, plemienu, z którego ów się wywodzi. Przechowuje dla teraźniejszości i przyszłości skodyfikowaną pamięć pokoleń. Dopiero wynalazek pisma czynił z niego historyka, a jednocześnie uwalnia od obowiązku przechowywania w pamięci tego, co można powierzyć kręślonym znakom. Nie pamięci ludzkiej staje się krótsza, nie sięga już odległych stuleci, obejmuje ledwie kilka pokoleń.

Historycy mają zawsze co innego do roboty więc nie pasjonują się problemem pamięci o przeszłości w dziejach człowieka. To jednak pewne, że wraz z postępowaniem cywilizacji staje się ona coraz płytsza, bo wiele z tego, co było dawniej, powierza przerożnym rodzajom pisarstwa historycznego. Im głębiej wkraczamy w świat komputerów, im więcej nasze mózgi mają do przyswojenia i przetworzenia, im bardziej porywa nas tempo codziennego życia, tym mniej pamiętamy o tym, co było niegdyś. W pogoni za jutrem nieraz nie dostrzegamy, że zgubiliśmy wczoraj. To piękne — patrzeć w przyszłość — ale jest ona niczym innym jak dzieckiem tego, co już pozostało poza nią, o czym warto pamiętać nawet wtedy, gdy się nie lubi historii.

Dalszy ciąg na str. 2

MIECZYŚLAW WOŹNIAKOWSKI

WOJNA, WOJNA!

Dzień 1 września 1939 roku był słoneczny i ciepły. Wiśniewski obudził się wcześniej. Początek roku szkolnego, najmiłszy chyba nauczycielski dzień. Zobaczy znowu tę swoją czeredę. Na pewno wyrosli, opalili się przez wakacje. Kierownik szkoły, cholerny pedant, znowu będzie jak co roku przed wymarszem przeglądał wszystkie klasy, czy przywoicie wyglądają, żeby się w drodze do kościoła dobrze prezentować.

I znowu sztandar szkolny pójdzie w pokrowcu, żeby, broń Boże, nie zmókił, lub żeby słońce kolorów „nie wyciągnęło”.

Zaangażowano podobno jakieś dwie młode koleżanki, ciekawe, co to za jedne... Przez otwarte okna dochodził z wysokich wioskich topoli ogłuszający świergot wróbli. W pewnym momencie usłyszał coś jakby odległe detonacje.

Wyrzwał przez okno. Bardzo wysoko, na zupełnie czystym błękitnie przesuwały się wolno trzy samoloty. Z tej odległości wyglądały jak srebrne małe krzyżyki. Pod nimi co kilkanaście sekund rozwijały się jasnobure pióropusze, którym towarzyszyły po kilku sekundach owe odległe huki.

— Co to jest? Znowu jakieś ćwiczenia? A może to już...

E, chyba nie! Wprawdzie jest częścią mobilizacja, nad granicą ciągle prowokacje, ale Mussolini próbuje mediacji, no a ostatnie gwarancje angielskie... Nie odważają się?

Zresztą pogodny dzień, a nawet ta pukania, jakaś niegroźna, jak na ćwiczeniach. Wprawdzie przeżył już i wojnę światową, ale to było tak dawno. Już dwadzieścia lat minęło. No i wtedy: zamach na arcyksięcia w Sarajewie potem wypowiedzenie wojny jedno, drugie, a tu — żadnego zamachu ani nikt nikomu wojny nie

wypowiedział... Ostatecznie niechby tylko spróbowali! Z nami Francja i Anglia...

Kiedy włączył radio, wszystko stało się jasne. Orędzie prezydenta Rzeczypospolitej nie pozostawiało żadnych złudzeń. Słuchał historycznego tekstu: — Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii. W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród w obronie swojej wolności, niepodległości i honoru skupi się dokoła wodza naczelnego i sił zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak się to już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich.

Cały naród polski pobłogosławiony przez Boga, w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju pełnego zwycięstwa.

Ignacy Mościcki
prezydent Rzeczypospolitej
Warszawa, dnia 1 września 1939 roku.

Ubrał się szybko i wyszedł z domu. Na podwórzu grupki ludzi dyskutują. Panowie z opaskami LOPP wyra-

żają swoje fachowe uwagi, że „to nasze „Losie”, a te strzały to tak, „na niby”, ćwiczebne. Dwoch dyżurnych „łopków” straż pełni na dachu długiego bloku mieszkalnego. Chcieli widocznie lepiej przyrzeć się samolotom.

W szkole — zajęcia odwołane. Pobrał pensję. W pokoju nauczycielskim — dyskusja.

Kolega Gromski: — Anglicy, he, ja ich znam! Byłem panie, w Anglii. Solidny naród! Można na nich polegać. A ich przemysł, ich lotnictwo! Panie, niech się wszystko schowa. Wiśniewski uważał, że jako oficer rezerwy powinien zabrać głos.

— Proszę państwa, sojusznicy — dobra rzecz. Ale, wiecie co? Ja byłem w tym roku w lipcu na ćwiczeniach i mówię wam: spokojna głowa! Było u nas bezrobocie, prawda. Brakowało pieniędzy na oświatę, na drogi, na budownictwo mieszkaniowe. Tylko na wojsko nie brakowało nigdy! Ale też mamy armię! Proszę państwa, nasze lotnictwo, nasze tankietki, nasze działka przeciwpancerne!

— Ja o tym mówię pierwszy raz, bo to były sprawy tajne. Ale teraz, skoro już wojna wybuchła. Koleżanki i ko-

ledzy, myśmy kiepsko zarabiali, rząd żałował forsę na wiele rzeczy bardzo potrzebnych, nie żałował — na wojsko. I te pieniądze się nie zmatnowały. Na pewno się nie zmarnowały! Wojna jest straszna, ale skoro już wybuchła... Teraz świat pozna, ile jesteśmy wari. Zobaczą, jak szkoła pów popędzimy!

W tej chwili spojrzął na Grochałę. Siedział pod oknem, jak zawsze mały, czarny nie ogolony, spoglądał na Wiśniewskiego wąskimi, małymi oczkami, w których, jak się zdawało Wiśniewskiemu, czaiła się drwina.

Grochała, sakramentki goral z Sądeckiego, niezłomny pepesiak cieszył się dużym autorytetem. Prosty, rubaszny w sposobie bycia, trochę nawet niechlujny, miał skryzalizowany światopogląd i dużą wiedzę. Mówiono o nim, że wszystkie kursy i szkoły, jakie były w Łodzi pokończył. Był absolwentem Wyższej Szkoły Nauk Polityczno - Społecznych, ukończył już dwa wydziały Wolnej Wszechnicy Polskiej. Siedział więc Grochała pod oknem, skręca brunatnymi paluchami tyton w bibułkę i świdruje na wylot Wiśniewskiego. Ten urwał zmieszany.

Dalszy ciąg na str. 4



Stolica Czechosłowacji — Praga przeżyła nie spokojne dni. Wrocie elementy i różnej mści chuliganeria podjęły próby zakłócenia porządku i spokoju. Nie cofnięto się nawet przed użyciem broni, w rezultacie czego są ofiary śmiertelne, a kilkanaście osób raniono. Energiczna akcja władz porządkowych przeszkodziła wywołaniu ogólnego chaosu, aktywnych uczestników zamieszek aresztowano.

Tym razem zdecydowanie władz sparaliżowało działanie, do którego siły antysocjalistyczne w Czechosłowacji starannie się przygotowały. Wtórowały im i dyrgowały nimi ośrodki imperialistycznej propagandy, które przez 160 godzin programu na dobę zarzucały kraj fałszywymi informacjami. Tym razem ich prowokacyjne wysiłki nie znajdowały powszechniejszego poparcia społeczeństwa. Odwrotnie — pod adresem partii i rządu wpłynęły tysiące depesz i deklaracji poparcia.

Jeszcze jeden atak sił antysocjalistycznych i jeszcze jedna przegrana! Ale próba nowej prowokacji, która w zamysle jej organizatorów miała ogarnąć nie tylko Pragę, lecz całe czechosłowackie terytorium i znów wywołać kryzys polityczny — jest wielce pouczająca. Potwierdza znaną prawdę, że antysocjalistyczne siły nie przebijają w środkach i nie składają broni.

Sierpień przyniósł w Czechosłowacji ważne elementy obrachunku sytuacji wewnętrznej. Dokończono to w licznych artykułach, dla szczególnie w wystąpieniu I sekretarza KC KPCz — G. Husaka na krajowym zgromadzeniu aktywów. Mówił on:

„Czy u nas w toku walki antyfaszystowskiej rozgromione zostały określone reakcyjne siły klasowe? Czy nie zostały one rozbite w walce z lat 1945—1948? Czy były to nieduże siły polityczne i klasowe — burżuazji, drobnomieszczaństwa, ich ideologiczni i polityczni zwolennicy? Wszyscy dobrze wiemy, że były to duże siły. Jeśli zaś chwilowo przycichły, to nie oznacza to, że przestały istnieć. A po styczniu 1968 r., kiedy uzyskiwały możliwość zajmowania się pracą polityczną — zaczęły one nader systematycznie działać, prowadzić nader zorganizowaną działalność”.

Analizując sytuację, której finał rozegrał się przed rokiem, G. Husak dał twierdzącą odpowiedź na pytanie, czy można było zapobiec rozwojowi niebezpiecznych wydarzeń w Czechosłowacji.

„Należało — mówił — zwrócić się do zdrowego jądra partii komunistycznej i do zdrowego jądra klasy robotniczej, do naszej milicji, do ludu pracującego i ta wewnętrzna walka polityczna o poważnych konsekwencjach, te wewnętrzne polityczne problemy mogły być stosunkowo łatwo rozwiązane. Jednakże w wyniku rozwoju, jaki istniał u nas, wytworzyła się wewnętrzna walka, która przedostała się do partii, do organizacji społecznych, walka o władzę polityczną i o to, kto zwycięży, jakie koła, jakie skrzydło. Te organizacje znajdowały się w stadium rozkładu i prawicowe siły oportunistyczne, siły antysocjalistyczne, korzystając ze swych olbrzymich możliwości w środkach masowego przekazu, wywierały stały nacisk na kierownictwo partii, na organy państwowe...”

Można z pewnością oczekiwać, że ostatnie wydarzenia znajdą również swoje analityczne osądzenie.

A teraz przenieśmy się do Północnej Irlandii, czyli Ulsteru, skąd codziennie agencje prasowe przynoszą obszernie informacje. Zarysowało się tam bowiem niebezpieczeństwo wojny domowej, a Republika Irlandzka, po raz pierwszy w historii ONZ, wniosła sprawę podziału republiki na forum Rady Bezpieczeństwa.

Bezpośrednim powodem wydarzeń były starcia na tle religijnym między protestantami a katolikami. Istota sprawy polega jednak na tym, że protestanci, znajdujący się w większości, zajmują w Ulsterze uprzywilejowane pozycje polityczne i ekonomiczne, katolicy natomiast są dyskryminowani. Żądania tych ostatnich równouprawnienia pod względem politycznym i gospodarczym spotkały się z gwałtownym sprzeciwem protestantów, którzy też wywołali zamieszki.

Przypomnijmy w tym miejscu, że od 1920 roku Irlandia podzielona jest na dwie części, z których jedna — to Republika Irlandzka, druga natomiast (6 hrabstw) stanowi część terytorium W. Brytanii. I właśnie w tej ostatniej doszło do wspomnianych wydarzeń. Rząd Wilsona zareagował na nie skierowaniem wojsk brytyjskich, twierdząc, że jest to sprawa wewnętrzna. W. Brytanii. Innego zdania jest Republika Irlandzka, której rząd zwrócił się z apelem o wysłanie na teren Ulsteru oddziałów ONZ i który — jak wspomnieliśmy — wniosł sprawę na forum Rady Bezpieczeństwa.

Wydarzenia w Północnej Irlandii postawiły W. Brytanię pod prejęciem światowej opinii publicznej, która nie bez uzasadnionych powodów obarcza ją odpowiedzialnością za wynikłą tam sytuację.

W. SŁAWSKI

KAŻDY KŁOS na wagę złota

Wież polska jest już w zasadzie po gigantycznym, zbiorowym wysiłku. Zniwa mają się ku końcowi. Warto przy tej okazji wspomnieć o pięknej akcji społecznej, która towarzyszyła tegorocznemu zbiorowi plonów. Zainicjowała ją młodzież wiejska zrzeszona w ZMW. Pod hasłem „Każdy kłos na wagę złota” tysiące młodych ludzi przyszło z pomocą gospodarzom starszym, schorowanym, samotnym, zniechęconym. Dzięki temu zdołano na czas zebrać wszystkie plony w całym kraju. Bezinteresowna po moc i ofiarność świadczy jak najładniej o młodym pokoleniu wsi.

Na terenie województwa łódzkiego w akcji niesienia pomocy przy żniwach wzięło udział 30 tys. młodzieży. Jest to dowodem, że akcja miała charakter masowy. Młodzież wiejska ofiarowała Polsce Ludowej na dwudziestopięcioletnie prezent rzetelny i ogromny. Spośród dużej liczby wybieramy dla ilustracji tego wielkiego czynu kilka przykładów.

We wsi Rossoszyca zachorował na początku żniw gospodarz Jan Łukomski. W trakcie żniw zachorowała również jego żona, pogotowie odwiozło ją do szpitala. Młodzież z miejscowego koła ZMW zebrała się w niedzielę, poszła na pole chorego rolnika, skosiła zboże, ustawiła w kopki, za grabiła rżysko. Chory człowiek, kiedy go w szpitalu poinformowano o tym wydarzeniu, nie chciał w to bardzo wierzyć.

Tak więc pomoc ta obok znaczenia czysto ekonomicznego posiada również znaczenie głębsze, zmieniające nawyki myślowe. Młodzież z tej wioski pomagała jeszcze innym gospodarzom. W odczuciu wsi istnieje zasadnicza różnica między pomocą jakiej udzielała swoi a pomocą jaką niosły swego czasu ekipy z miasta. Swoi pomagają sprawliwie, komu trzeba i należy. I taką pomoc się cenili. Ekipom brak było często rozeznania.

16 członków koła ZMW w

Kamionce przez pół dnia pracowało przy koszeniu zboża na polu inwalidy Zdzisława Plicha. Plich napisał w podziękowaniu: „Jestem bardzo wzruszony i zadowolony, że tak konieczną pomoc dla mnie widziała jedynie młodzież”.

Członkowie koła ZMW w Woli Wiązowej, widząc, że 70-letni rolnik Jan Pająk nie ma skoszonej pszenicy postanowili mu pomóc. Udali się do Pajaka i powiedzieli, że za darmo chcą mu sprzątnąć zboże. Gospodarz posadził ich, że sobie kpiny urządzają ze starego człowieka. Nazajutrz zjawił się w polu i stwierdził, że młodzież rzeczywiście mówiła prawdę. Ze wzruszenia się rozplakał. Dodajmy, że starsi mieszkańcy wsi byli przeciwni tej pomocy. Uważali, że każdy powinien robić tylko na swoim.

Nie chcieliśmy młodych ludzi buntować przeciwko dorosłym, lecz ten konkretny brak posłuszeństwa pochwalamy. Rozumiemy, że praca na wsi ma wartość bardzo wymierną, ludzie ją szanują i niechętni są bezinteresownemu trwonieniu siły. Jeśli jednak młodzi zrobili na swoim, a potem poszli pomóc drugiemu jest to z ich strony krok mądry i słuszny. Chleb jest wspólnym dobrem nas wszystkich.

Na szczęście tego typu wypadków było bardzo mało. Ten odnotowaliśmy ze względu na jego unikalność. Większość gospodarzy rozumie, ceni i pochwała udział młodzieży w niesieniu pomocy za zagrożonym i podupadłym gospodarstwom. Gospodarstw tych niestety jest stosunkowo dość dużo w naszym kraju i stanowią niezmiernie ważny problem ekonomiczny i społeczny. Z tego też względu sprawna akcja „Każdy kłos na wagę złota” godna jest wysokiego uznania, nawet ludzi nie związanych bezpośrednio z produkcją rolną.

Z okazji święta plonów my, szarzy zjadacze chleba, życzymy wsi polskiej wszelkiej po myślności.



ARNOLD BOROWIK

— dziennikarz i sprawozdawca sportowy

Rys. T. Rynkiewicza

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH”:

- ◆ FELIKS BĄBOL — „Gniewni z browaru”
- ◆ LUCJUSZ WŁODKOWSKI — „Porównania”
- ◆ JERZY WILMAŃSKI — „Wszystko gra, panie dzielnicy”
- oraz
- ◆ Lotnictwo polskie w II wojnie światowej
- ◆ Przeszłość i teraźniejszość
- ◆ Nowela kryminalna

Potrzeba pamięci

Dalszy ciąg ze str. 1

Myśli te nasunęły mi się przy lekturze książki Szymona Datnera „55 dni Wehrmachtu w Polsce. Zbrodnie dokonane na polskiej ludności cywilnej w okresie 1. IX. — 25. X. 1939 r.”. (Wydawnictwo MON, Warszawa 1967 (ukazała się w 1968 r.), str. 621), opatrzonej przedmową jednego z najwybitniejszych polskich niemieczanów, prof. Alfonsa Klafkowskiego. Książka tragicznej. Historyk niewiele mówi tu od siebie. Zestawia kronikę zbrodni. Dzień po dniu, miejscowość po miejscowości. Tylko 55 dni z tych blisko 2000 dni okupacji. Mało? Bilans: 16.336 osób, 714 „dokonanych mordów (umownie — „egzekucji”)”. „Liczby te są niepełne, zanizone. Obejmują tylko te wypadki, których dokumentacja znalazła się w rękach autora. Nie obejmują one kilkudziesięciu egzekucji (i kilkusset ofiar), których dokumentacja dotarła do autora już w trakcie druku niniejszej pracy. Nie obejmują też one wielu egzekucji, których nie odkryto po dzień dzisiejszy... Nie objęły one tych ofiar cywilnych, które zginęły w trakcie działań wojennych...”. 96 proc. ofiar to mężczyźni. Najczęściej mordowani zbiorowo: rozstrzelanie, zastrzelenie, rozszarpanie granatami, zakłócenie bagnetami, spalenie żywcem...

Motywy zbrodni? Nie zastanawiano się wiele — zaszyfowany strzał, jakiś stary mundur, ktoś „nie uciekał podczas wkroczenia wojsk”, albo i uciekał. Kto by zwracał sobie tym głowę — byle strzały były celne. A jednak? Wiesz Zawisz, woj. katowickie, 1 września: zamordowano 7 osób. „Szczególnie znęcano się nad Pisarkiem jako popularnym działaczem niepodległościowym i uczestnikiem trzech powstań śląskich”. Nieborowice, pow. Gliwice, 2 września — rozstrzelano „16 uwieczonych powstańców śląskich z Gieraltowie i okolicy pod upozorowanym zarzutem próby ucieczki”. Kobielice, pow. Pszczyzna, 3 września — zamordowano dwóch członków Związku Młodzieży Powstańczej, Orzesze, pow. Tychy, 4 września — 29 rozstrzelanych. Motywy: „wytępienie elementu polskiego oraz za branie udziału w plebiscycie po stronie polskiej”. Nowy Bytom, 7 września — zginął „po uprzednim sturutowaniu” Józef Czogała: „był Polakiem i powstańcem śląskim”. Berkenek, pow. Brodnica, 8 września: rozstrzelano większą liczbę osób: „ofiaram zarzucano należenie do organizacji niepodległościowych w 1918 roku”. Szubin, 8 września — jeden mężczyzna, Starostowo, 8 września — dwóch: „zarządzenie odwetowe za powstanie wielkopolskie 1918/1919”. Mogilno, 11 września — 141 pomordowanych — za „patriotyczną postawę w miesiącach poprzedzających wybuch wojny”. Szubin, 18 września — rozstrzelanie 37 Polaków — w odwet za powstanie wielkopolskie. „22. 9. 1939 rok. w m. Krasna, gm. Ogródzka, pow. Cieszyń, woj. katowickie, Gestapo rozstrzelano 12 weteranów powstania górnośląskiego... Zwłoki pomordowanych w odwet za wydarzenia sprzed 20 lat pochowano we wspólnym gro-

bie...”. Witkowo, woj. poznańskie, nie ustalonego dnia września — zostali zamordowani dwaj mężczyźni. „Byli oni powstańcami wielkopolskimi 1918 roku”. Nielub, pow. Wąbrzeźno, 17 października — rozstrzelano 8 Polaków. „Egzekucja była następstwem przynależności wymienionych osób do organizacji Związku Zachodniego”. Tego samego dnia w Szubinie zamordowano 3 osoby w odwet za powstanie wielkopolskie. Bielisko Białe, 19 października — rozstrzelano 25 Polaków „przeważnie powstańców śląskich”. Kórnik, pow. Srem, 20 października: publiczna egzekucja 14 osób. „Ofiary oskarżano o polskość i wrocie ustosunkowanie się do Niemców za czasów polskich przed rokiem 1939”. Srem, 20 października — zginęło 19 osób. „Przyczyn egzekucji należy szukać w ujawnionym spisie członków organizatorów powstania wielkopolskiego oraz w dążeniu do wytępienia inteligencji polskiej”. „Spośród sprawców zostali zidentyfikowani miejscowi Niemcy...”. Szubin, 21 października, dwie egzekucje po 10 Polaków, w odwet za powstanie wielkopolskie.

W mundurach Wehrmachtu, SS i Gestapo nie strzelali na oślep. Mordowali w odwet. W odwet za wydarzenia sprzed 20 lat, za broń niegdyś chwyconą przeciw zaborecy, za fiasco germanizacji tych „praniemieckich” ponoć ziem, za patriotyczny zryw Wielkopolski i Śląska, za polskość. Strzelali do bezbronnej ludności pragnęli uzyskać to, czego nie osiągnęli za Bismarka, za Kulturkampf. Mierzyli bez zbrukania oka, zbrojni nie tylko w karabin i granat — w zbrodniczą świadomość historyczną. Oni pamiętali. Ofiarom zapomnieć nie wolno.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Chciałbym dać tu kilka przykładów docieklivosti. W 1946 roku byłem świadkiem pierwszego powojennej pompy: pekiły fronty i papież Pius XII nadał uroczyste kapelusze siedmiu nowo mianowanym kardynałom. Chłonałem obraz ceremonii, liczącej długie wieki narastającej tradycji: gwardie papieskie, szwajcarzy w kostiumach projektowanych przez Michała Anioła, kąpiące od przepychu stroje szambelanów, kawalerów maltańskich, wysokich rang wojskowych, którzy na tę uroczystość wdziali nie noszone podczas wojny galowe mundury, służba watykańska, wreszcie papież niesiony dookoła bazyliki św. Piotra, orszak siedmiu purpuratów, za każdym cameriere niosący tren czerwonego płaszcza.

W pewnym miejscu, kiedy żona moja, ubrana, jak etykieta nakazuje, w czarny koronkowy welon, zatrzymała się, podbiegł do niej wspianolec ze służby papieskiej w aksamitnym kolorowym fraku, z wielkim białym rurkowym kołnierzem na szyi, w białych pończochach i uprzejmym gestem wskazał kierunek. Mimowolnie poszedłem wzrokiem za nim, był wyjątkowo aktywny.

Po różnych ceremoniach kardynałowie udali się do Kaplicy Sykstyńskiej podziękować Bogu za otrzymane godności.

Po gwarze w bazylice, cisza tu panowała. Na ścianie ołtarzowej jaśniał Sąd Ostateczny Michała Anioła, na plafonie jego „Siwonek świata”. Wyselekcjonowani uczestnicy stali dookoła pod freskami Boticelego, Pinturicchio, Perugino i innych, a środek kaplicy gorzał purpura. To siedmiu kardynałów leżało plackiem, a płaszcze ich były umiejętnie przez służbę rozpostarte. Panowała cisza i skupienie — ani jeden fotoreporter, w myśl obowiązującego regulaminu, nie został dopuszczony.

Dlatego zwrócił moją uwagę tenże, raz już widziany sługa papieski, który poprawiał płaszcz jednego z rozciągniętych kardynałów. Było to chyba zbędne w zapietym na ostatni guzik ceremoniale, skoro gorliwiec zwrócił uwagę nie tylko moją, ale jakiegoś monsignora we fioletach, który szeptem mu coś powiedział.

Zapomniałbym o tym incydencie bez znaczenia, gdybym potem nie dowiedział się dalszego ciągu, o którym wiadomość obiegła Rzym jako sensacja.

Okazało się, że podejrzenie monsignora zbudziło nie tylko niepotrzebne faldowanie płaszcza, ale jakieś podejrzenie manipulacji gorliwego sługi. Podszedłszy z cicha, monsignor ze zgrozą stwierdził, że gorliwiec operuje małym aparatem fotograficznym. Wyproszony przez straż papieską, zeznał dobrodusnie, że jest fotoreporterem „Paris-Match” i nazywa się Walter Carone.

Po tygodniu dwa miliony egzemplarzy „Paris Match” dały pierwszą w dziejach relację obrazkową (i to w kolorach) z zamkniętej uroczystości konsekracji kardynałów.

W tymże roku, kiedy Watykan nie był w stanie się opędzić reporterom, kierownictwo rozbiórki mostu Kierbedzia, obrażone wścibstwem Budrewicza, ustawiło po prostu tablicę „Osobom obcym i reporterom „Wieczoru” wstęp wzbroniony”.

Fotografowie „Paris-Match” Le Tellier i de Bausset splatali również figla królownie Małgorzacie w czasach, kiedy durzyła się w lotniku Townsendie. Townsend był rozwodniakiem, co, jak wiadomo, choćby z romansu Edward VIII — pani Simpson nie jest przez dwór tolerowane i cała historia była srodze strzeżona przed okiem obywateli, no a ci obywatele z kolei spalali się z ciekawości, co też Małgorzatka wyczynia.

Dowiedziawszy się, że młoda para przebywa w wiejskiej zacisznej rezydencji, zakradli się o świcie do parku i cztery godziny czekali w chaszczach w kapuśniaczku. Po czterech godzinach, kiedy wypogodziło się, kochankowie ukazali się w alei, prowadząc się pod rączkę. Szczeknęły migawki i w chwili potem spadli na fotografów pałacowi detektywi, odebrali aparaty i skonfiskowali filmy. Tylko nie wiedzieli, że niezwłocznie po dokonaniu zdjęć, fotoreporterzy wykreśliłi rolki i zamienili je innymi. Zdjęcia opublikowano i była bomba.

Nie powiem, żeby podglądanie kochanków było godne zalecenia, ale podaje jako przykłady reporterskiej docieklivosti, które tu raczej należałoby określić jako wścibstwo. To wścibstwo jest klęską ludzi stojących na świeczniku zwłaszcza w Ameryce. Takie pismo „Confidential” obwiesza reporterami drzewa po nocach dookoła will gwiazd filmowych, fotografując przez teleobiektywy wychodzących rano mężczyzn i publikując uwłaczające rewelacje.

Taż sama Małgorzata zażywając yachtingu na wodach Bahama (publikowano z gwałtem wielkim jej rzekomo naga fotografie zdjęta przez teleobiektyw, co spowodowało sprostowanie, że był to biały cienki trykot) nagle z przerażeniem sposzregła wynurzającego się pletwonurka z aparatem w ręku, którego rozwścieczeni detektywi poturbowali i poszarpani na nim strój pletwonurkowy. Był to reporter Pedrazzini, do którego królowiana

wolała: „Na miłość Boską, niech pan kupi na mój koszt najlepszy ekwipunek, jaki pan znajdzie”.

Tenże sam Pedrazzini, kiedy marszałek de Lattre de Tassigny leżał śmiertelnie chory w szpitalu (z którego już nie wyszedł), wdrapał się na dach szpitala, spuścił się po linie do okna pokoju, w którym leżał marszałek i zrobił zdjęcie umierającego.

Szukające? Tak, zapewne. Ale posłuchajmy dalej.

Tenże sam Pedrazzini, rażony śmiertelnie w Budapeszcie w 1956 r. z czołgu, do którego się podkraśli z aparatem, przewieziony do szpitala, pytał gorączkowo czy jego zdjęcia

były wezwany nawet batalion wojska. Pisałem całą noc, rozgorączkowany, na drugi dzień popędziłem na najbliższe lotnisko, zobowiązałem obsługę, że dostarczą redakcji nie zwłocznie. Po kilku tygodniach, wygrawszy się nad Morzem Czarnym, dowiedziałem się od dobrodusznego red. Trzebińskiego, że „a jakże, będzie tego drukować, a jakże”.

Wybuchnąłem, na co red. Trzebiński pojednawczo: „Drogi kolego, przecież i inne kurczęta chciałyby podziubać”.

Mój Boże! I pomyśleć tylko, że na sto lat przed pocziwem red. Trzebińskim, w 1848 roku korespondent z wojny meksykańskiej zainstalował na statku kaszty drukarskie,

kompania celebrowała drugi dzień z rządu. Nawet nie zanotowano jego nieobecności.

Jakże pozazdrościć musieliśmy tej sprawności nie tylko ja w latach trzydziestych, ale i Wiesław Górnicki w latach sześćdziesiątych. Przekradł się, jak Roy, w czasie targu suńskiego, między liniami wojsk brytyjskich i arabskich, z tą małą różnicą: opis tego barwnego przeżycia ukazał się w wydaniu książkowym w sześć lat potem.

• * •

To z tego szlachetnego pnia — pasji w dziedzinie i słyszenia za miliony pochodzący tacy jak korespondent w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, więziony przez Japończyków za zapuszczanie się w niedozwolone zony. Wyprawa się w mróz łodzią przez Morze Żółte, odmraża kończyny, ale ląduje w Chemulho, gdzie odbywa się lądowanie Japończyków. Skazany na rozstrzelanie, na skutek depezy prezydenta Teodora Roosevelta ulaskawiony, wyprowadza jacht i w 1907 roku rusza z żoną i siedmioletnią córeczką w podróż dookoła świata. Słuch o nich ginie, mają ich za straconych. Nagle w 1909 dostarcza ich półtych na półroczny pobyt w szpitalu w Australii. Okazało się, że błędzi, że zarzuciło ich na Molokai, gdzie tydzień musieli spędzić w szpitalu dla tredowatych, że następnie przez sześćdziesiąt dni znajdowali się na szlaku nie uczeszanym przez okręty. Złożony niemocą, gorączkowo pisze przez ostatnie lata życia, umiera mając czterdzieści lat.

• * •

Drużyna wojna się skończyła, ale bezpowrotnie minęły czasy, kiedy w czasie pokoju przedsiębiorczy korespondenci musieli sobie wyszukiwać namiastkę egzotyku, jaki wojna daje, choćby jak podróż drobnym jachtikiem dookoła świata. Świat huczy nieustannymi przeobrażeniami i nieustanna wojna. To już po drugiej wojnie Guenther dla swego „Inside Africa” przebywa w latach 1952—1953 — 40.000 mil, 30 krajów, odbywa 1503 rozmowy, w ciągu 25 dni jest w szesnastu miastach. Katarakta mu się rozwija w obu oczach, ale nie przerywa jeżdżenia, żona mu pomaga.

Ale jak wiemy i wojenek nie brakuje. Lyknął z nich Wojciech Żukrowski, Wiesław Gorzyński, Andrzej Braun, Monika Warneńska. Jeden z zabawniejszych przykładów przedsiębiorczości reporterskiej zdarzył się w związku z wojną indochińską:

Noel Barber, korespondent „London Daily Mail” spotkał w hotelu „Ritz” gen. Jean de Lattre de Tassigny, głównodowodzącego w Indochinach.

— Gdyby pan generał zechciał zjeść ze mną obiad, to by wreszcie moi czytelnicy dowiedzieli się czegoś istotnego o przebiegu kampanji.

— Nie prościej. Mr. Barber — odpowie dziać uprzejmie generał — niech pan do mnie zajdzie na obiad w sobotę.

— Ach, jakże wdzięczny panu generałowi.

— Ach — dodał Lattre de Tassigny — zapomniałem wzmiankować, że ten obiad będzie miał miejsce w Sajgonie.

Barber, wyga „oblatany” w dosłownym tego słowa znaczeniu (w pewnym roku obleciał trzykrotnie kulę ziemską, przy czym jeden z przelotów trwał trzydzieści dwie godziny, pokrywając 20.050 mil; innym razem leciał z małym słoniem; innym razem z Chińczykiem, który go przez cztery godziny nakłaniał do wypalenia fajki opium) — nie pozwolił z siebie zakpić:

— Rozumie się samo przez się — odpowie dziać nonszalancko — przypuszczam, że o ósmej wieczorem?

Wyleciał z Paryża w czwartek po południu, wylądował w Sajgonie przed wieczorem w hotelu „Continental”.

— Witam pana — powiedział generał nie mrugnawszy okiem.

Barber był nagrodzony nie tylko doskonałym koniakiem, ale i długą rozmową. Rozmawiając, zerkał nerwowo na zegarek: tegoż dnia za kwadrans dwunasta odlatywał samolot do Paryża. Jego walizka oczekiwała w hallu, smoking zmienił już w samolocie.

W poniedziałek był już z powrotem w Paryżu, robiąc razem 22.400 kilometrów. Dla ober-latawca, który już wówczas dobijał do swej milionowej przelataniej mili nie było to może zbyt dużo. Na szczęście jego pismu również nie wydała się suma 1974 dolary za płuconą za jeden obiad zbytnie duża (bo tyle Barber zapłacił za bilet).

1974 dolary za zjedzenie obiadu to dużo.

1600 dolarów za jeden skok ze spadochronem, to też немало. A taką sumę zapłacił „Paris-Match” jako ubezpieczenie fotografa, który miał fotografować ślub lotnika i lotniczki. Młoda para ubrana w kostiumy lotnicze, wzięła ślub w szybującym samolocie, po czym wprost „od ołtarza” skoczyła na ziemię, a ubezpieczony fotoreporter skończył z nimi, by ich w locie fotografować.

MELCHJOR WAŃKOWICZ

Przemysłność i pieniądz



Fot. P. Kwiatkowski

wysłano. Zmarł po czterech dniach — w pierwszą rocznicę swego ślubu.

Tę ostatnią troskę wyraża w moich „Korespondentach wojennych” umierający Bushemi.

A więc gotowi byli na rzecz swojej pasji płacić najwyższą cenę.

• * •

Nie tylko Pedrazzini nalożył głowę za swą docieklivość. Świadczy o tym długa lista korespondentów wojennych z Ernste Pylem na czele. Ksawery Pruszyński również był ranny przy inwazji Normandii.

Na kilka lat przed wojną jechałem wozem do Rumunii drogą okrężną, wachając to i owo (drukowałem wówczas cykl artykułów „Ziarna po Polsce”). Zmienacka natknąłem się na silne zaburzenia w Lesku, do których

aby już w drodze złożyć swoją korespondencję, która prosto ze statku poleciała jako dodatek nadzwyczajny.

Jakże zazdrościć wówczas musimy sprawności dziennikarskiej gdzie indziej.

Korespondent francuski Benno Graziani, ubrany w smoking, z kieliszkiem martini w ręku i z ośniewającą blondynką u boku, pierwszorzędnie się bawił w luksusowym hotelu St. Moritz, kiedy mu zwrócono uwagę na pikolaka krążącego po sali z jego nazwiskiem na tyłce. Pikolak wręczył mu depezę od naczelnego redaktora, zlecającą mu niezwłocznie udać się do hiszpańskiego Maroka, w którym wybuchły starcia.

Graziani o szóstej rano znalazł się w samolocie, wylądował w Maroku w południe, z lotniska najęta taksówką ruszył na front, porobił zdjęcia, złapał wieczorny samolot do Paryża, oddał zdjęcia i najbliższym samolotem wrócił do St. Moritz, gdzie też sama

WIELUNSKI POCZĄTEK WOJNY

Na czerwonym tle biała kamien-
na baszta z czarnym dachem i czer-
nią ziejącym strzelniczym otworem.
Trudno dziś orzec, czy twórca wiel-
uńskiego herbu wybierając kolory
zdawał sobie sprawę z nadzwyczaj-
nego „szczęścia”, jakie miasto miało
do wojen. Zaczęło się to dawno.
Kroniki notują m. in. najazd wojsk
arcyksięcia Maksymiliana z 1583
roku, który zresztą po klęsce pod
Byczyną tutaj był więziony. Potem
zajęli Wieluń Szwedzi, toczyły się
tu liczne boje klasowe — plebs
atakował bogate mieszczaństwo
w obronie praw do życia bez wy-
zysku. Przemieniły nad miastem lata
kościuszkowskiej insurekcji i licz-
nych powstań. W 1905 roku w mie-
ście i okolicy strajkowano. Tutaj
też rozpoczęły się jedne z pierw-
szych działań wojennych w 1914 r.

Rok 1939 nie był spokojny dla
ziemi wieluńskiej. Na granicy czę-
sto wybuchaly strzały. W Prasce
zamierał „tradycyjny” przemysł.
Coraz mniej ludzi mijalo most
graniczny na Prośnie. Zbliżał się
wrzesień. Wracano z urlopów, sta-
wało się coraz niespokojniej. Szcze-
gólnie tu — nad granicą, gdzie nie
uspokajaly plakaty krzyczące ha-
słem: „Silni, zwarci, gotowi!” Gdzie
mimo zwiększającej się liczby wojsk
rosł niepokój, gdzie mimo to trzeba
było spokojnie przygotowywać się
do nowego roku szkolnego, do nor-
malnej — jesiennej pracy. Dyrektor
Miejskiego Szpitala w Wieluniu —
dr Zygmunt Patryn uważał jednak,
że postąpi rozsądnie, jeśli zwołna do
domu jak najwięcej chorych. Tak
na wszelki wypadek. Bo, jeśli się
zacznie...

Minęła trzecia, świt rozjaśnił nie-
bo, gdy nad miastem pojawiły się
samoloty z czarnymi krzyżami.
Warkot silników wybił ludzi ze
snu. Sen mieli niespokojny, prze-
rywany nasłuchiwaniami. Wielu bu-
dziło się, a nie mogąc zasnąć włą-
czyło radio, czasem nastawiano nie-
mieckie stacje, gdzie w gardłowej
mowie ziano nienawiścią do Polski,
ale poprzez oszczerstwa i kłamstwo
można było wyluskać wiadomość,
czy jeszcze się nie zaczęło.

— Obudzili mnie samoloty —
wspomina tamte ciężkie chwile
Ludwik Perdek. — Nie było w tym
lataniu nad miastem nic dobrego.
Bałem się i aby zabić strach posta-
nowiłem posłuchać radia. Włączy-
łem niemiecką stację i stało się dla
mnie jasne, jakie to samoloty i z
jakimi zamiarami. Wybiegłem z do-
mu, aby szybko dostać się do sta-
roświata i przekazać usłyszaną wia-
domość. Spojrzałem w niebo. Od
samolotów odrywały się małe czarne
punkciki.

— Pierwsze bomby spadły na
szpital — mówi dr Zygmunt Patryn.
— Mieszkałem przy szpitalu. Nim
zdążyłem wstać, usłyszałem potwór-
ny huk i zobaczyłem, jak futryny
okien i drzwi wylatują z murów.
Złapałem płaszcz i boso wybiegłem
z walącego się domu. Dziękiwałem
rozsądkowi i przezorności, że zwo-
niłem chorych. Zostali tylko ci,
których stan zdrowia nie pozwalał
na powrót do domu. Zostali na
zawsze.

Po pierwszym ataku samoloty
zawróciły i jeszcze raz zrzuciły
bomby na szpital. Gdy tylko odle-
ciały samoloty, do zburzonego szpi-
tala nadeiagnęli ranni. O własnych
siłach, przy pomocy bliskich, znajo-
mych lub po prostu przygodnie
spotkanych ludzi, którzy nim zde-
cydowali się na ucieczkę, nieśli
jeszcze pomoc innym. Z dwiema pie-
lęgniarkami odnaleźliśmy wśród
gruzów watę i środki opatrunkowe
oraz trochę lekarstw. Musiałem
wkrótce zostawić rannych pielę-
gniarkom, a sam pośpieszyć do
parku na pomoc rodzącej.

Wieluń płonął. Ulice: Augustiań-
ska, Narutowicza i przyległe leżały
w gruzach. Ludzie brali dobytek
i uciekali z miasta. Nie wszyscy.

— Panie Perdek — wołał przez
restauracyjne okno Niemiec Schuec-
ke — patrz pan, idą oswoobodziciele.

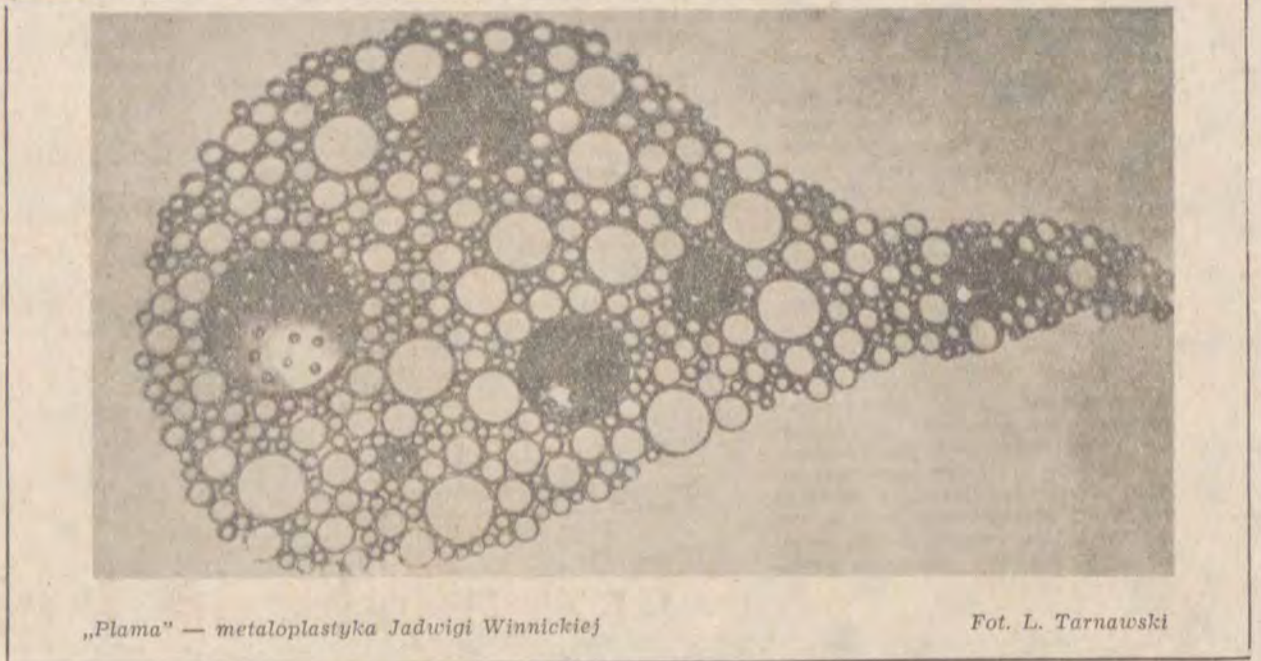
Wybiegł na ulicę, wyjął chusteczkę
i machał nią w stronę nadlatują-
cego samolotu. Hitlerowski pilot
inaczej zrozumiał ten gest. Posłał
serię z cekaemu. Schuecke osunął
się martwy.

— Był już grudzień 1939 roku —
wspomina Bronisław Nowak, dawny
woźny wieluńskiego gimnazjum —
zamiatalem ulicę ze śniegu. Ulicą
szedł pilot Luftwaffe. Zatrzymał się
koło mnie i zapytał, czy go nie po-
znaję. Przyglądałem mu się uważ-
nie, ale nikt z naszych uczniów nie
pasował do hitlerowskiego mundu-
ru, choć przecież Niemców tu nie
brakowało.

— Schelle jestem — przedstawił
się młody pilot. — Chodźłem tu do
gimnazjum. Widzi pan — Herr No-
wak — co tu się stało — powiódł
ręką dookoła. To JA bombardowa-
łem Wieluń!

— Przypomniałem sobie teraz —
wspomina stary woźny — że Schelle
chodził do gimnazjum w Wieluniu
i przypomniałem, że nie cieszył się
dobrą opinią. Chodziły pogłoski, że
został szpiegiem. Nic w tym dziw-
nego, wielu Niemców pracowało
przecież dla Hitlera.

Czy Schelle naprawdę bombardo-
wał Wieluń? Trudno znaleźć dziś
na to pytanie odpowiedź. Wątpli-
wości ma też Bronisław Nowak.



„Plama” — metaloplastyka Jadwigi Winnickiej

Fot. L. Tarnawski

— Miasto bombardowano z dużym
znawstwem — mówi. — Trafiano
celnie, ale Niemcy mieli dokładne
plany, a młody może chciał się
tylko pochwalić przed starym wo-
źnym. Powodu do dumy nie miał na
pewno.

W Wojewódzkiej Pracowni Urba-
nistycznej przystępując do opraco-
wywania koncepcji rozbudowy mia-
sta, zastanawiano się, co zrobić z
ukrytymi pod ziemią fundamentami
zbombardowanego przez Niemców
kościółka. Architektem i urbanistom
przyswiecała idea nawiązania do
urbanistycznej przeszłości miasta.
Udało im się wykorzystać pozosta-
łości dawnych murów obronnych,
udało się włączyć do nowoczesnej
koncepcji starówkę, połączyć umie-
jtelnie w całość przeszłość, teraźniej-
szość i przyszłość Wielunia.

Dziś w Wieluniu nie ma już śla-
dów wojennych zniszczeń. Są jesz-
cze w ludzkiej pamięci, te najtrwa-
wsze, których czas — ponoć najlepszy
lekarz — nie potrafi wymazać. Nie
ma ich w materii miasta. Nie ma tu
gruzów, które pochodziłyby z tam-
tych czasów. Jedynym rumowiskiem
jest zabytkowa baszta, która zawa-
ła się 3 lata temu. Jak do tej pory
nikt nie potrafił przywrócić jej
kształtu nadanego rękami budowni-
czych przed 600 laty.

— Czy rzeczywiście nikt — pytają
w Wieluniu. — To przesada, bo
zdolne jest to uczynić Przedsiębior-
stwo Konserwacji Zabytków w War-
szawie. Wyznaczą już 14 razy
terminy rozpoczęcia robót. I jakoś
nic z tego nie wychodzi.

— Życie zmienia przyszłość —
śmieja się w Wieluniu. — Kiedyś
mówiono: „do trzech razy sztuka”.
U nas mówi się teraz: „do dwu-
dziestu” — bo może po 20 razy wy-
znaczony termin stanie się rzeczy-
wistością.

Dwadzieścia pięć lat od końca
przynależności do „Warthegau” —
okupacyjnego, terytorialnego tworu
Niemców i trzydziści lat od pa-
miętnego września 1939 roku przy-
niosło miastu inny — nowy wygląd,
inną — nową rzeczywistość. Długo
jeszcze lała się krew. Kulą, gwał-
tem i terrorem usiłowano zatrzymać
czas. Ludzie w trudzie i znoju to-
rowali drogę postępowi.

Nie miał przedwojenny Wieluń
kanalizacji, wodociągów, a 600 ro-
dzin mieszkało w piwnicach. Była
tu jedna szkoła, prywatne gimna-
zjum i cukrownia. Z Wieluńskiego,
Sieradzkiego i okolicznych ziem
ciągnęli ludzie na „saksy”. Wieluń
był etapem tych wędrówek, prze-
jęciem granicznym — Praszka.
Często trzeba było korzystać z po-
mocy i wskazówek przemysłowców.

Od etapu w wędrówkach na
„saksy”, od ziem przygranicznych
droga do stanu dzisiejszego naj-
pierw wiodła przez walkę z bandami,
a później przez trud odbudowy.
W pokozackich stajniach, gdzie kie-
dyś gromadzono ludzi przed wywo-
żeniem do Rzeszy powstał najpierw
„Prozamet”, a dziś dawne stajnie
obrosły biurowcem i nowoczesnymi
halami Zakładów Urządzeń Galwa-
nizacyjnych i Lakierniczych — fa-
bryki, która daje niepowtarzalną
produkcję, ale nie szczędzi kłopotów.
Są one typowe dla rozszerza-
jącego się przemysłu — fluktuująca
załogi, nieterminowość dostaw, trud-
ności z kooperacją i jakością.

W Prasce — za Prosną, gdzie we
wrześniu 1939 r. niemieckie oddziały
szykowały się do ataku na Polskę
— mieści się Szkoła Mechanizacji
Rolnictwa. Z jednej strony miasta
— Zakłady Sprzętu Motoryzacyj-
nego. W Wieluniu powstaje dzielnica
przemysłowa. Miasto czeka na in-
westycyjne decyzje. Na razie wielu-
nianie zasilają kadry fabryk, hut
i kopalń Śląska. Wszystkie wskazuje,

że w niedługiej już przyszłości
będą ze Śląskiem — po prostu ko-
operować.

Przed wojną było w Wieluniu
wszystkiego 300 uczniów. Dziś do
szkół ogólnokształcących, podsta-
wowych oraz do Technikum Mecha-
nicznego, Ekonomicznego i Budo-
wanego uczęszcza 3,6 tys. dziewcząt
i chłopców. To właśnie oni mają
możność spełnić szansę Wielunia,
zasilić mające tu powstać nowe za-
kłady pracy. Dla nich m. in. pow-
stawać będą nowe bloki mieszka-
niowe, których do tej pory wznie-
siono 67. W osiedlu „Okólna”
i drugim powstającym o aktualnym
imieniu: 25-lecia PRL, gdzie w
1972 roku zamieszka 3 tys. osób.

Zmieniło się miasto, zmienili się
ludzie — stwierdza przewodniczący
Prezydium MRN — Stanisław Po-
deszwa. — Ludzie przywiązali się
do miasta, zrozumieli, że jego roz-
wój jest gwarancją polepszenia ich
życia. Pewnie, że jeszcze narzekają
i mają powody. Wiele chcemy zro-
bić, zmienić i wiemy, że są takie
potrzeby, ale wiemy też, że nie zro-
bimy tego bez pomocy wielunian.
Dowodem wzajemnego zrozumienia
niech będą czyny społeczne. Do tej
pory wartość ich jest bliska 30 mi-
lionów zł. Wiele w tym pracy i in-
icjatywy młodzieży. Oni zmienili
wygląd jednej z ulic, dali jej szla-
chetną nawierzchnię, założyli
kwiatniki i zielenie, a w zamian
ulica otrzymała nazwę — Młodzie-
żowa. Cieszy utrwalające się przy-
wiązanie do miasta, tych, którzy nie
pamiętają strasznych dni Września.
Dobrze, że chcą o nich wiedzieć,
że się interesują, bo pamięć o tym,
co wydarzyło się 1.IX.1939 r. po-
winna trwać wiecznie i nie tylko
zakuta w kamienne bryły pomni-
ków.

WOJNA, WOJNA!

Dalszy ciąg ze str. 1

— A kolega Grochala? Co?
Wszyscy spojrzeli na Grochałę. Ten
spokojnie ślinił bibułkę, dłuższą chwile
milszał, wreszcie mrknął:

— Wyżej sro, jak dupę mo!
Koleżanki, że to niby nie dosłyszaly,
z miejsca wybierają się kupić „na
wszelki wypadek” po parę kilo ob-
czku i słoniny. Wiśniewski zmieszał
się. W tej chwili przypomniał sobie,
jak to niespełna rok temu, po Mona-
chium, po zajęciu Sudetów przez Hit-
lera i Zaolzia przez nas, spacerował
z Grochałą w chłodny październiko-
wy wieczór. Niebo było wybite gwiaz-
dami, aleja parkowa wiatr przerzucał
opadłe liście. Nad Polską powietrze
było przesycone skandowanymi okrzy-
kami: — Wodzu, prowadź! A stary
Grochala idzie obok niego jakiś mi-
lączy, osowiłaty. Głowę wciągnął w
ramiona, że stał się jeszcze mniejszy
niż zwykle.

— Tak, kolego. Czechy już na stole
operacyjnym. Szykujemy się. Teraz to
już chyba nasza kolejka!
Wtedy aż nim szarpnął ten jego
pessimizm.

— Cóż to za zgorzkniała pierdota!
— pomyślał. Dziś nie odezwał się. Nie
spojrzawszy w stronę Grochali ze-
brał się do wyjścia.

— Ano, operacja się zaczęła! — u-
słyszał za sobą.

Odwrócił się już we drzwiach:

— No, więc co? Jak?

— A bo ja wiem, myślicie? Ja nie
nie wiem. Tu mój leń za głupi. Po-
smutniał jakoś...

— Nie gniewajcie się, kolego, ale
chyba nadchodzi dla nas straszne
czasy... Podali sobie ręce.
Idąc korytarzem zajął do „swojej”
klasy-VIb. (Przeczuł, że do niej nie
wróci?). Izba była czystutka przygo-
towana na przyjęcie dzieci. Na ścia-
nie krzyż, godło państwowe, portret
prez. Mościckiego i marszałka Smig-
łego Rydza. Z przeciwległej ściany
spod krzaczastych brwi spoglądał Pi-
susiński.

W domu zastał żonę podenerwowa-
ną ciągłymi komunikatami z frontów,
marszami wojskowymi w radiu.
I wreszcie — tajemnicze: — Uwaga,
uwaga, nadchodzi!

A — L — 4 —

To znów: — Uwaga przeszedł!

Nazajutrz — coraz częściej krąży
samoloty, opuszczają się coraz niżej.
Padają — pierwsze bomby w rejonie
dworca Łódź-Kaliska jakiś omyłkowy
alarm — gaz! Teraz nie ma najmnie-
szej wątpliwości, że to nie „Losie”
kolują nad miastem. Nasza artyleria
przeciwlotnicza puka do nich, ale bez
żadnego efektu.

Wiśniewscy opuszczają miasto i u-
dają się do wioski pod Tuszynem.
W drodze chwytają ich alarm. Tram-
waj zatrzymuje się. Pasażerowie wy-
skakując z wagonów, kryją się w ro-
wie. Nad nimi walka powietrzna. Sa-
moloty niemieckie atakują lotnisko
na Lublinku. Ale oto podrywają się
nasze samoloty. Niebo pełne huku
dział i ujadania karabinów maszyno-
wych, eskadry niemieckie rozlatują
się. Wiśniewscy skryli się za murem
cmentarza wojennego z I wojny świa-
towej. Tutaj właśnie między Rudą a
Rzgowem rozgrywały się lat temu 25
krwawe i zacięte walki. Mogiły pole-
głych wówczas żołnierzy zarosły ziel-
skiem i krzewami.

Wszyscy zdążyli już ochłonąć. Stało
się oczywiste, że ta powietrzna bi-
twa im nie grozi. Można więc ją ja-
koś tako spokojnie obserwować. Wkrót-
ce atak niemiecki został odparty, na
niebo wrócił spokój. Rozdzwonił się
nawet skowronek, skryte w trawach

odezwały się świerszcze. Alarm jesz-
cze nie odwołany. Prąd nadal nie wy-
łączony.

Wiśniewski z cmentarznego wzgórza
widzi swoje miasto jak na dloni. W
ogromnym blasku chylącego się ku
zachodowi słońca widzi tonące w o-
grodach zabudowania Rudy Pabianie-
kiej, na prawo jego rodzinne Chojny:
gotycki kościół św. Wojciecha z dwiema
wieżami, wysoki zbiornik wodny,
fabryki Johna, dalej stłoczone mia-
sto. Z kominów prostą smugą biją ku
niebu dymy.

— Jutro pogoda — pomyślał.

I nagle to miasto biedoty i fabry-
kantów — ludzi oschłych i obcych,
miasto, w którym tyle brzydoty, sta-
ło się dla niego bardzo bliskie i w
tym blasku odchodzącego dnia — pię-
kne... Przez serce przepływała mu ra-
dość, że jednak odparto atak wrażeń
skrzydeł na tę najbliższą mu ojczy-
znę. Sycił więc wzrok, chłonał w sie-
bie rozległą panoramę aż hen, po Wi-
dzew, las łagiewnicki, Zubardź i Ret-
knie...

Motorniczy zadzwonił. Ruszyli. O
zmiernych byli na miejscu. Wiesz przy-
jęła ich cisza i zwykłą powszednio-
ścią: gdzieś skrzypiał żuraw, ktoś nad
stawem nawoływał gęsi, powietrze
przeszywał cicho nietoperz, na niebie
rozbiły pierwsze gwiazdy. Wojny
ani śladu.

Nazajutrz wiadomość radiowa: mo-
bilizacja rezerwistów mających karty

mobilizacyjne z niebieskim pasem.
Wiśniewski odetchnął z ulgą. Naresz-
cie! On właśnie miał taką kartę. Już
mu było głupio. Wszyscy koledzy —
rezerwiści, tak mu się zdawało, w swo-
ich jednostkach, a on tylko pałeta się.

Pozegnał się szybko z żoną i — do
Łodzi z powrotem. W domu przebrał
się w mundur. Do walizki skarpetki,
przybory do golenia. Aha, i jeszcze
kapielówki. Boże, czy też on swój
pulk dogoni? 25 p.p. — Piotrków Try-
bunalski.

— Już są pewnie dość głęboko w
Rzeszy. Wykapie się człowiek w Szpre-
wie. Byle jak najprędzej.

Na Dworcu Fabrycznym tłum powo-
lanych. Wszyscy śpiewają, drą się,
wielu „naoliwionych”.

Bo z nami Smigły, Smigły, Smigły
Rydzi!

Zbliża się wieczór, a pociąg nie od-
chodzi.

Kolejarze nie mają tegich min. Ktoś
mówi: — Bomby spadły na Widzewie
i koło Niciarki. Naprawiają tory.

Teraz dowiaduje się, że dziś spadły
bomby również na ulicę Bandurskie-
go, Karolewską, Kopernika...

Wreszcie wieczorem pociąg ruszył,
ale za Widzewem, gdzieś koło Justy-
nowa znów się zatrzymał.

— Kuluszki zbombardowane. Dwo-
zec spalony. Rzeczywiście na hory-

Protoplastą bostońskiego klanu jest Joseph Kennedy, Irlandczyk z pochodzenia, który zaczął z niego i dorobił się milionów. Typowy self-mademan z czytanek dla amerykańskich dzieci. Staraj się, wszystkie drogi stoją przed tobą otwarte, staraj się...

Jak Joseph Kennedy zrobił krociowy majątek tego nikt już nie wie, ani się waży snuć na ten temat przypuszczeń. Ta karta w dziejach bostońskiej rodziny jest zamknięta. Wiadomo tylko, że senior roku nieraz ostrzegał Johna, więc syna i prezydenta Stanów Zjednoczonych przed kruczkami i bezwzględnością amerykańskich miliardów — uważaj na nich, to zgraja szakali...

Joseph Kennedy próbował też w polityce. Dopisał nawet tego, iż został za Roosevelta ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Londynie.

Potem starszy pan uznał, że jego kariera polityczna jest skończona.

Więc oczy starszego pana zwróciły się na Johna.

Co było dalej pamiętamy. Błyskawiczna kariera i prezydencki fotele. I znowu tragedia. Mord na prezydencie w teksaskim Dallas. Jeden Kennedy odszedł, przyszedł drugi Kennedy. Tym razem był nim Bob, więc Robert. I znowu fatum. U progu oszalałej kariery, gdy było prawie pewne, że Bob uzyska nominację partii demokratycznej na kan dydata w wyborach prezydenckich, młody i błyskotliwy senator pada od kuli wynajętego mordercy.

Po odejściu Boba zaczęło spoglądać w stronę ostatniego już syna Josepha Kennedy'ego, więc na młodego Edwarda.

Pierre Salinger oświadczył w dwa miesiące po zabójstwie Boba Kennedy'ego:

— Ted zajdzie dalej niż jego bracia. Posiada najlepsze cechy ich obu, ma wdzięk Johna i upór Boba...

Ted to oczywiście Edward Kennedy. W Stanach nie znoszono długich nazwisk i długich imion. Wszystkie skracają do niezbędnego minimum. Nie przepuszcza się nawet prezydentom. Stąd te zdumiewające dla Europejczyków skróty w rodzaju „Ike”, którym określano Eisenhowera i „L. J.”, którym określano Johnsona. Mówi krótko i jasno. Tylko „intelektualiści mówią dłużej niż trzeba, aby powiedzieć więcej niż sami wiedzą”. To zdanie wypowiedział Eisenhower, który intelektualnie nie poważał. Mało kto ich poważa w Stanach.

Co z Tedem?

Za dobrze nie wygląda.

Najmłodszy senator z klanu Kennedy'ów wleciał samochodem z wąskiego mostu do cieśniny o dwu metrach głębokości. Nie utonął. Wydaje się wszakże, że utonął jego polityczna kariera. W samochodzie została młoda dziewczyna Mary-Jo Kopechne. Zginęła na miejscu. Kobieta utonąła, a to warzyszący jej mężczyzna uradował się i nie poniósł żadnego widocznego szwanku. Takich przypadków po drugiej stronie oceanu bardzo, ale to bardzo nie lubią. Jeśli kto wystawi fałszywy czek, lub dokoła innych malwersacji finansowych, to może z tego wyciągnąć się bez plamki na ciele i duszy.

W kraju gdzie dolar jest bożkiem, przestępstwa finansowe do najcięższych nie należą. Chyba, że są to przestępstwa podatkowe. Wtedy jesteś zagotowany. Gdy jednak przestępstwa dotyczą dziedziny do brych obyczajów, moralności, etyki i amerykańskich tradycji, wówczas opinia publiczna jest bezkompromisowa. Tymczasem najbardziej wpływowe gazety zarzucają młodemu Kennedy'emu, że ogólnie mówiąc zachował się jak tchórz.

Gorszej obelgi być nie może. Bardzo się tam cenili ludzie prostych i nieskomplikowanych, za to odważnych do granic szaleństwa. I znowu tradycja. Działanie kowbojskich legend i państwowotwórczych mitów z okresu pionierskiej kolonizacji Dzikiego Zachodu. Bądź męzny, bądź męski, charakter bardziej się liczy niż szkolna wiedza. Ted Kennedy wygląda męsko. Nawet wygląda do bardzo męsko. Kobiętom podoba się niesłychanie. To urodziwy, atletycznie zbudowany mężczyzna, najwyższy z wszystkich synów Josepha Kennedy'ego. Ma 1,88 m wzrostu. Kiedy w 1962 r. ten młody człowiek kandydował na senatora ze stanu Massachusetts wśród jego politycznych przeciwników zapanował śmiech złośliwy i chóralski. Dobre sobie, ten żółtodziób chce z nami wygrać wybory... Rzeczywiście, wcale nie było pewne czy Tedemu się powiedzie.

Został wybrany do senatu większością 69 procent głosów. Było to zwycięstwo drugą, które otwierało przed młodym senatorem drogę do najwyższych godności. Po zamordowaniu Boba Kennedy'ego, Ted odciął się całkowicie od świata. Śmierć brata odezła mocno. Osiadł na 3 miesiące

w swej posiadłości na przylądku Cod. Całe dni spędzał na jednoślazowcu „Vietura”. Przypuszczano, że Ted wycofa się z polityki. Nie takiego się nie stało. W sierpniu 1968 roku na Konwencji Partii Demokratycznej w Worcester, Ted Kennedy wystąpił z prze mówieniem, które wydrukowały na pierwszej kolumnie wszystkie poważniejsze dzienniki amerykańskie. Młody senator tak wyłożył swoje polityczne credo:

— Z dniem dzisiejszym powracam do życia publicznego. Będę postępował jak przedtem postępował obaj moi bracia. Będę nadal wypełniał mi

hiję sam senator Ted Kennedy w towarzystwie swego adwokata.

Relacja senatora była krótka.

„Przybył przedwczoraj na wyspę Marthas Vinyard aby wziąć udział w regatach. Zamknął w głównym wyjściu na swej żaglówce dziewięć miejsc. Potem udał się na małe „party” organizowane na Chappaquiddick przez jego szwagra Josepha Gargana. W przyjęciu uczestniczyło też 6 młodych kobiet. Jedną z nich Mary-Jo Kopechne poprosiła, by ktoś ją zawiózł do pobliskiego Edgartown, gdzie wynajęła pokój w hotelu. Ofiarował się swoim „Oldsmobilem”. Zmyślił jednak drogę, stracił kontrolę nad wozem i wpadł z mostu do wody. To było straszne, doprawdy sam nie wie jak się uratował. Pamięta, że kilka razy nurkował, próbował Mary wydobyc z topieli, bezskutecznie...”

Dominiak Arena wysłuchał tej opowieści w głębokim milczeniu. Potem zaczął się dra pać w głowę. Co robić? Najchętniej by powiedział: — dziękuję, panie senatorze... ale ugryzł się w język. Sprawa nie może się tak zakończyć. Od czasu, gdy kobieta utonąła minęło już 10 godzin. Dlaczego Kennedy nie powiadomił policji natychmiast? Niestety, nie się nie da zrobić. Prokuratura wystąpi z oskarżeniem o ucieczkę z miejsca wypadku. Za takie przewinienie karze się w stanie Massachusetts więzieniem od dwu do trzech miesięcy. Senatora Teda Kennedy'ego skazano na dwa miesiące z zawieszaniem. Senator przyznał się do winy. Nikt wobec tego nie zadał mu żadnych dodatkowych pytań i sprawę zakończono.

Koniec i kropka?

O nie, prasa amerykańska nie byłaby sobą, gdyby miała przepuścić taką gratkę. Wytrawni specje wyczuli swym długim nosem swąd. Czy aby Ted mówił całą prawdę? A zresztą gdyby nawet mówił, czy nie nadarza się wyjątkowa sposobność raz na zawsze rozprawić się z trzema play-boyami z Bostonu, którzy od lat już u silują „przerobić” Amerykę?

Ted Kennedy twierdzi, że wypadek zdarzył się o 23.15, tymczasem zastępca szeryfa w Edgartown, właściciel stacji benzynowej utrzymuje, że widział wóz senatora krążący po wyspie Chappaquiddick o godzinie 0.40. Zapamiętał ten wóz doskonale, bo o tej porze ruchu prawie nie ma. Dalsze wątpliwości. Ted Kennedy twierdzi, że próbował ratować Mary Kopechne. Jak to więc się stało, że nie udał się o pomoc do najbliższych jasno oświetlonych domów, tylko pomaszzerował pieszo dwa kilometry do willi szwagra? W krwi Mary odkryto ślady alkoholu. Jest pewne, że na przyjęciu piła. Jaka jest zatem pewność, że Ted również nie

pił? Może właśnie pił i dlatego czekał aż 10 godzin z meldunkiem, by z bibliki wytrzeźwieć i wrócić do znośnej formy? Wątpliwości, wątpliwości. Ted twierdzi, że całą noc przeleżał w willi Gargana w stanie kompletnego załamania nerwowego. Czy wszyscy jego przyjaciele obecni na „party” też byli bez reszty załamani nerwowo? Dlaczego nikt z nich nie zadzwonił na policję, choć wiedzieli, że Ted wrócił bez wozu, bez Mary, cały prze moczony i z obłędem w oczach? Ted twierdzi, że cała noc nie ruszał się z miejsca gdyż był do tego niezdolny. Tymczasem znaleźli się świadkowie, którzy go widzieli nad ranem na promie Chappaquiddick w towarzystwie przyjacieli. Głośno rozmawiali. Potem wrócili promem do Edgartown.

W sprawie wypadku, w którym zginęła Mary Kopechne wszczęto dochodzenie sądowe. Tym samym wyjaśnienie złożone przez senatora uznano za niewystarczające, żeby nie powiedzieć mało wiarygodne. Amerykanie są niezmiernie wyczuleni na punkcie równości wo bec prawa. Jeśli Kennedy jest niewinny, to niech się broni publicznie i przed sądem. Dla

czego milczeć? Pierwsze przesłuchania mają się odbyć 3 września przed sądem w Edgartown. Oskarżenia mnożą się. Do ataku ruszyli przeciwnicy polityczni klanu Kennedy'ów. Czują pismo nosem. Jeśli uda się zdyskredytować młodego senatora w oczach opinii publicznej, wówczas powtórny wybór Nixona na prezydenta Stanów w 1972 roku jest niemal przesądzony. Z gwałtowną napaścią na Kennedy'ego wystąpił w tych dniach znany dziennik „Washington Post”. Zarzuca się młodemu senatorowi nie mniej nie więcej tyko nakłanianie szwagra Gargana do złożenia fałszywych zeznań. Gazeta twierdzi, że Kennedy namawiał szwagra, by ten przyjął na siebie całą winę i przyznał się, że to on odwoził Mary Kopechne. Targi trwały długo i stały opóźnienie z meldunkiem. Ostatecznie Gargan propozycje odrzucił. Jak było naprawdę? Gargan zaprzecza. Wysłał do gazety sprostowanie.

Jedno nie ulega wątpliwości.

Nad rodziną Kennedy'ów wi si tragiczne jakieś fatum. I to od lat.

JAN BABIŃSKI

TRAGICZNE FATUM

leżą. Chyba, że są to przestępstwa podatkowe. Wtedy jesteś zagotowany. Gdy jednak przestępstwa dotyczą dziedziny do brych obyczajów, moralności, etyki i amerykańskich tradycji, wówczas opinia publiczna jest bezkompromisowa. Tymczasem najbardziej wpływowe gazety zarzucają młodemu Kennedy'emu, że ogólnie mówiąc zachował się jak tchórz.

Gorszej obelgi być nie może. Bardzo się tam cenili ludzie prostych i nieskomplikowanych, za to odważnych do granic szaleństwa. I znowu tradycja. Działanie kowbojskich legend i państwowotwórczych mitów z okresu pionierskiej kolonizacji Dzikiego Zachodu. Bądź męzny, bądź męski, charakter bardziej się liczy niż szkolna wiedza. Ted Kennedy wygląda męsko. Nawet wygląda do bardzo męsko. Kobiętom podoba się niesłychanie. To urodziwy, atletycznie zbudowany mężczyzna, najwyższy z wszystkich synów Josepha Kennedy'ego. Ma 1,88 m wzrostu. Kiedy w 1962 r. ten młody człowiek kandydował na senatora ze stanu Massachusetts wśród jego politycznych przeciwników zapanował śmiech złośliwy i chóralski. Dobre sobie, ten żółtodziób chce z nami wygrać wybory... Rzeczywiście, wcale nie było pewne czy Tedemu się powiedzie.

Został wybrany do senatu większością 69 procent głosów. Było to zwycięstwo drugą, które otwierało przed młodym senatorem drogę do najwyższych godności. Po zamordowaniu Boba Kennedy'ego, Ted odciął się całkowicie od świata. Śmierć brata odezła mocno. Osiadł na 3 miesiące

Wiele uwagi poświęca się we Francji polskiej literaturze młodzieżowej. Już w 1956 czasopismo „ENFANCE” ogłosiło pracę prof.

19 lipca o 9 rano znaleziono tuż przy moście w wąskiej cieśninie łączącej wyspę Chappaquiddick z wysepką Marthas Vinyard wyrzucony do wody samochód marki „Oldsmobile”. Samochód wyholowano na brzeg. I wtedy odkryto w nim zwłoki młodej i ślicznej blondynki. Sprawdzono numery rejestracyjne samochodu. Boże święty czy to możliwe? Ależ tak, samochód należał do senatora Stanów Zjednoczonych, do 37-letniego Edwarda Kennedy'ego. Dominiak Arena, szef miejscowej policji usiłował natychmiast powiadomić senatora, że ktoś miał wypadek „Oldsmobilem”. Nie mógł jednak z nikim się połączyć. Dochodziła dziesiąta i w tym momencie zjawił się u szefa po-

dencję o urokach artystycznych Krakowa oraz notę o śmierci Zawieyskiego.

Pisma poświęcone awangardzie literackiej, zwracają uwagę naszym nowatorom. Na przykład „Cahiers Dada — Surrealissime” wydały numer na temat polskiego futurizmu z artykułami Beniamina Gorely, Anatola Sterna i Henryka Berlewi, wierszami Tytusa Czyżewskiego, Sterna, Brunona Jasińskiego i Stanisława Młodzieńca, oraz manifestem „Do ludów świata”. Równocześnie „Poesie Vivante” ogłosiła wiersze Stanisława Bruca, Stefana Gackiego, Jerzego Jankowskiego, Jasińskiego, Sterna, Czyżewskiego i Młodzieńca, w przekładzie Lucienne Fey, znanej tłumaczki Romana Brandstaettera.

Wiele uwagi poświęca się we Francji polskiej literaturze młodzieżowej. Już w 1956 czasopismo „ENFANCE” ogłosiło pracę prof.

Krystyny Kulickowskiej o rozwoju literatury młodzieżej w Polsce. Obecnie ten sam miesięcznik przy-

niósł studium Kulickowskiej „Problemy literatury dla młodzieży w Polsce Lu dowej w okresie ostatnich dziesięciu lat 1958—1968”. Praca ta ukazała się również w osobnej oddzielce. Wstęp napisał profesor Uniwersytetu w Tours, Andre Marevil, dobrze znający nasz kraj z licznych w Polsce pobytów. To Marevil był inicjatorem opublikowania pięknego zbioru bajek polskich dla francuskich dzieci przez Irenę Lu baszewską. Wydawnictwo Gallimard kontynuuje serię przekładów dzieł Witkacego w przekładzie Jadwigi Kukulczanki. Już się ukazały „Matka” i „Metafizyka dwugłowego cielecia”, przygotowane zostały dalsze sztuki, oraz utwory powieściowe. To samo wydawnictwo Gallimard ogłosiło przekład „Kolombów” Bratnego, dokonany przez Leona Oustry. Wielkim zainteresowaniem francuskich czytelników cieszy się ta powieść o powstaniu warszawskim 1944 roku. Podobny sukces odniosły

powieści Kazimierza Brandysa.

Radio paryskie kilkakrotnie powtarzało przygotowaną przez Bronisława Horowicza, inscenizację „Dwóch teatrów” Szaniewskiego w przekładzie Jadwigi Kukulczanki i Georgesa Siedre'a. Wystawiono tu także i „Matkę” Witkacego. Telewizja francuska inscenizowała „Dom kobiet” Nalkowskiej. Powodem, cieszył się wieczór o Wyspińskim na salach „France Culture” w reżyserii Bronisława Horowicza, a w telewizji reportaże o Polsce Michela Drola.

POLSKA NA ANTENIE RADZIECKIEGO RADIA I TV

Z okazji Lipcowego Święta Odrodzenia, w związku z rocznicą czterdzięcia PRL, radzieckie radio i telewizja zapoznają swoich odbiorców z wieloma materiałami poświęconymi polskiej kulturze. Donosi o tym tygodnik „PRT” (Programy Radia i Telewizji), odpowiednik naszego

„RTV”. W publikacji zatytułowanej „Prażnik bratstwa” (Święto braterstwa), zabrał głos Antoni Oleha, wiceprzewodniczący Komitetu do Spraw Radiofonii i Telewizji PRL przedstawiając dorobek masowych środków przekazu w minionym ćwierćwieczu i wymieniając audycje telewizyjne przygotowane przez Polską TV dla odbiorców radzieckich.

O spotkaniach polskich i radzieckich żołnierzy ochraniających wspólną granicę opowiadał reportaż nadany w I programie radzieckiego radia. Zaś telewizja radziecka przedstawiła w I programie sztukę Jarosława Iwaszkiewicza „Odbudowa Biedomierza” w realizacji J. Radomyslińskiego. Z tej okazji tygodnik „PRT” zamieścił także interesujący wywiad z polskim pisarzem, w którym prezes ZG ZLP wypowiedział się m. in. na temat twórczości pisanej specjalnie dla radia i telewizji.

POLONICA

str. 5

zonicie widać było czerwoną lunę. Około północy ruszyli dalej. Po godzinie byli w Kuluszkach. Dalej pociąg już nie szedł.

Na drugi dzień z dwoma innymi rezerwistami „rzemiennym dyszlem” dostali się do Jeżowa. Kiedy wstąpił do restauracji, by coś zjeść, w kacie przy stole dostrzegł kilku znajomych oficerów z 25 p.p. Zameldował się majorowi, d-cy batalionu, że oto udaje się do Piotrkowa, do pułku.

— Nie macie dokąd iść. Pułk zaraz będzie tutaj. Zdziwił się. Istotnie, niedługo — widział z okna, jak szosą wali jego pułk. Żołnierze szli milczący. Widać było, że broń, mundury, oporządzenie mają zupełnie nowe, widocznie tylko co wyfasowane z magazynów „mob”. Nadeszła wreszcie kadra, która miała zorganizować nową dywizję z nich, powołanych 3 września, tworzących drugi czy nawet trzeci rzut. Organizacja nowych oddziałów odbyła się w pobliskim lesie.

A kiedy następnego wieczoru wychodzili już w świeżo sformowanych oddziałach na drogę, Wiśniewski był szczęśliwy. Idąc ze swoim plutonem, pomyślał: — Nareszcie włączyłem się w rytm historii! Jestem autentycznym uczestnikiem II wojny światowej.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

POLONICA

POLSKO-FRANCUSKIE STOSUNKI LITERACKIE

Paryski dziennik „Le Monde” notuje sprawy polskiej literatury. Współpracownik tego pisma Stanisław Kocik, daje od czasu do czasu sylwetki polskich pisarzy, takich jak Teodor Parnicki, Stefan Flukowski, a poprzednio — Jerzy Zawieyski. W kronice tego pisma zauważono opublikowanie na łamach naszej „Twórczości” manifestu francuskich surrealistów, w przekładzie Artura Sandauera oraz ukazanie się „Gry wojennej” Stanisława Strumph Wojtkiewicza, na temat polsko-francuskiego braterstwa broni podczas drugiej wojny światowej. „Le Monde” zamieścił też dobry essay poświęcony Wyspiańskiemu z okazji stulecia jego urodzin, jak również piękną korespon-

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Ojczyzno zerwanych dzwonów;
Kraju, gdzie kwiaty tulą trwożnie płatki z nastaniem dnia,
a rozchylają się w miarę zagłębiania się w mrok,
Kraju dziwnej przewodności głosów i ciszy, w którym
wierzchni zgłębienie znaczy ciszę, a w kraterach spokoju
tętnią głosy żywe i wielkie.
Kraju, w którym zawarte okiennice wydają rankiem pogłos
uderzeń kolby karabinowej,
Ojczyzno klatek schodowych, gdzie na skrzyżowaniach
przedświtu z zorzą najchętniej czai się śmierć —
My, którym ludzie stateczni i owczego serca nie odklaniają
się gwoździ ostrożności na ulicach:
MORITURI TE SALUTANT.

Ojczyzno, w której drzewach płacze wiatr,
Kraju, w którym śmierć nie jest biała i bosa, jak to można
było ongiś oglądać na zbożnych malowidłach i u szopkarzy
podlaskich, lecz chadza w sztylpach i brunatnej
liberii,
Ojczyzno, której Imienia nie śmieliśmy dotykać nadaremno
łatwą wargą, a które lubią odmieniać przez liczby
i przypadki tamci pałacy w stolicy cygara oraz wszyscy
chętni na późniejszych powołanych i wybranych,
Ojczyzno Ursusów i Sebastianów, —
Oglądający co dnia śmierć żywą przez szczyrbiny wi-
zjerów i zrenie:
MORITURI TE SALUTANT.

Kraju, który leżysz ogromem w dziedzinach przeszłości i
przyszłości, lecz teraźniejszość Twoja posiada wymiar
ostrza bagnetu,

Morituri te salutant

Ojczyzno dobrych snów, gdzie dzieciom ciężą powieki pod
brzemonami zamków z powietrza,
Ojczyzno czerwonych snów o Indianach umiejących dobrze
wytrzymać ból,
Kraju anielskich akcesoriów — w którym chłopcom pod
ciasnymi paltami przyrosły do pleców skrzydła husar-
skie, zaś domy raz po raz wznoszą się w powietrze na
piórach ognia,
Ojczyzno sosny rozdartej i wierzb płaczących, co w porzu-
conych przez wiewiórki dziuplach skarbią dawne i no-
we arsenały, — Przemykający od domu do domu z
tajemną partią zeszytów, z księgą mówionego słowa,
wzorem i z jabłkiem Newtona, by najwierniej je prze-
kazać tym, którzy nas zastąpią:
MORITURI TE SALUTANT.

Kraju, na którego niebie nawet oddział gwiazd imieniem
Orion składa się mieczem z ciemnością,
Kraju, który ostatni zamienił gęś i pieśń na miecz ze-
szczyrbiony od rozbijania tarcz z bezbożnymi krzy-
żami,
Kraju garści ziemi, czerwonej od Gdańska do Tatr,
Mój pradziad obalony z koniem, gdy zamierał ostro-
łęcki bój, nazywał Cię s w o i m...
Mój dziad, co pod Grochowskimi wyszedł z bagnetem
na spotkanie strzelców Zwierziowa, nazywał Cię
s w o i m,
Kraju mojej matki i narzeczonej,
Kraju, który nazwie kiedyś s w o i m mój syn,
Kraju, którego nazwa widnieje teraz tylko na winietach
gazetek rozwożonych rankiem przez niedorośli ryk-
siarzy po Hożej, po Ceglanej i po tyłu jeszcze ulicach
tylu innych miast —
My w lasach pełnych mroku, deszczu i ptaków zapę-
dzający brunatną śmierć w potrzaski szczyrbów, posy-
lający śmierci śmierć:
MORITURI TE SALUTANT.

Ojczyzno, której nie ujrzymy,
Która jesteś,
Która będziesz i wtedy, gdy nad kośćmi moimi zaniknie
wybrzuszenie ziemi
i kiedy śladu nie będzie po następnym i jeszcze na-
stępnym...
Kraju wieczny jak akt rodzenia
Ziemni Ognista —
Zaświadczam idącym i przyszłym pokoleniom,
żeśmy nie gorsi od nich i żeśmy tacy jak oni,
i że w wichurę dziejów nie oderwaliśmy
stóp naszych od ziemi naszej.
Daj ciałom naszym w trawach Twych łagodne spoczywanie,
a życiu naszemu okrucuch pamięci,
a dzieciom naszym chleb biały,
a oczom ich niezmacony lazur,
którego nie będzie więcej przemierzać
strzelista śmierć i jej ptak:
MORITURI TE SALUTANT.

1943

WŁADYSŁAW SMOLSKI



OGRÓDEK

Zaraz po wojnie poznałem w Łodzi rzeź-
biarza Witolda Ulanowskiego. Urocy ten
człowiek posiadał w wysokim stopniu tzw.
„zdolności psychiczne”, leczyl przy pomocy
magnetyzmu; miał również dar jasnowidze-
nia. Do historii przeszło to, co przepowiedział
na pół roku przed wrześniem trzem zna-
jomym malarzom, które spotkał razem na
ulicy. Pierwszej oświadczył, że będzie poza
domem, kiedy w dom uderzy bomba, drugie-
j, że z domu zburzonego wyjdzie bez
szwanku, trzeciej, że zostanie podczas bom-
bardowania ranna, ale rany dadzą się łatwo
uleczyć. Wszystko to sprawdziło się później
co do joty. Pewnego dnia w kawiarni usły-
szałem z ust rzeźbiarza historię tak charak-
terystyczna dla okupowanej Warszawy, że
czuję się w obowiązku ją tu opowiedzieć.

„W czasie wojny nie było mowy o tym,
ażebym żył ze sztuki. Zwalazcza jeśli chodzi
o rzeźbiarstwo. Chyba robić nagrobki. Na to
zapotrzebowanie rzeczywiście wzrosło. Nie
mając jednak od tego ochoty wolałem za-
jąć się ogrodnictwem; czułem do niego zaw-
sze pociąg. Jak wiele ludzi, którzy w zmie-
nionych warunkach wojennych wykorzystali
swoje dawne hobby, i ja w ten sposób za-
cząłem zarabiać na życie. W drugim roku
wojny wynajmowałem kawałek ziemi. I to —
proszę sobie wyobrazić — w samym centrum
Warszawy, tuż przy Solcu, gdzie kończy się
położony na skarpię od ulicy Smolnej za-
kład św. Kazimierza. Było tam parę różnych
posesji zanurzonych w ogrodach. Od dołu,
za plotem przy ulicy Czerwonego Krzyża
znajdowała się fabryczka; wypłacono w niej
slomianki. Co tam wytwarzano naprawdę,
dowiedziałem się dopiero później.

Działkę licząc nieomal dwie morgi stara-
łem się wykorzystać jak najlepiej. Złoży-
łem inspekty, w których hodowałem kwia-
ty... i winogrona. W wojennej Warszawie
był bowiem popyt na wszystko. W ogrodzie
zasadziłem sałatę, ogórki, pomidory; warzy-
wa popłacały wówczas bardzo. W obórcę zaś,
niedaleko inspektów, hodowałem króliki i
kozy.

Atoli nie tylko tak niewinne rzeczy znaj-
dowały się na mojej działce. Znajomi dowie-
dzawszy się, że mam ogród, zwrócili się do
mnie z różnymi prośbami. Jak wiadomo, naj-
lepiej cośkolwiek ukryć zakopując to do zie-
mi.

Pewien rzeźbiarz prosił mnie więc o za-
kopanie paru posągów z brązu, gdyż za po-
przedniej wojny Niemcy konfiskowali ten
metal. Rozumiałem w pełni lek twórcy o je-
go dzieła i nie mogłem mu odmówić. Tym
bardziej nie wypadło mi odmówić komuś
z konspiracji przechowania gazetki i bro-
ni. W ten sposób działka stała się niejako
magazynem rzeczy nielegalnych. Nie potrze-
buję dodawać, co za to groziło.

Przyszło lato czterdziestego trzeciego roku.
W ogrodzie moim wzrastały ogórki, czerw-
niły się pomidory. Króliki i kozy rozplę-
dzały się zgodnie z prawem natury. W in-
spektach oprócz winogron miałem około ty-
sięcia tulipanów i hiacyntów. Mogłem z tego
żyć spokojnie wraz z rodziną. Wszystko za-
powiadało się różowo i gdyby nie...

Pewnego letniego dnia wszedłem do ogród-
ka z góry, od strony Smolnej. Przemierz-
szy całą działkę zbliżyłem się do obórki i
właśnie położyłem rękę na skoblu, by ją
otworzyć, kiedy dostrzegłem, że do sąsied-
niej posesji, gdzie była fabryka slomianek,
przeskakują przez płot niemieccy żołnierze.
Intuicja zasygnalizowała mi natychmiast
niebezpieczeństwo. Cofnąłem więc rękę od
skobla i powoli zacząłem się wyczoływać w
przeciwną stronę, dopóki nie znalazłem się
koło kamienicy przy Smolnej, przez którą
wchodziło się na mój teren. Niestety w bra-
mie stał oficer i dwóch żandarmów. Kazali
mi wracać.

Posłuchałem, bo i cóż miałem robić. Za-
wróciłem i jak mogłem najwolniej zacząłem
schodzić w dół. Po drodze były ruiny —
pozostałość po wrześniowym bombardowa-
niu. Ukryłem się w nich i skonstatowałem,
że strażnicy w bramie Niemcy nie zajmują
się mną wcale. Uwaga ich zwrócona była
całkowicie w stronę fabryki. Dobywały się
stamtąd dziwne odgłosy: wrzaski, wybuchy,
strzały. Jak się później okazało, wytwórnia
slomianek maskowała prowadzoną przez AL
fabrykę materiałów wybuchowych. Znajdo-
wała się ona w piwnicy, stąd wykopano i
wyniesiono ziemię. Niemcom udało się za-
skoczyc pracujących w piwnicy konspirato-
rów. Siedmiu zastrzelono na miejscu, ósmo-
go jedynie zostawiono przy życiu, ażebym
zaprowadził żandarmów do nieobecnego w fa-
bryce jej właściciela.

Tego wszystkiego dowiedziałem się dopie-
ro później. W tym czasie myślałem — przy-
znam się — tylko o ratowaniu własnej skó-
ry. Dobywając się z fabryki odgłosy
utwierdzały mnie w mniemaniu, że to
wszystko nie wróży nic dobrego. Można by-
ło przewidzieć, że Niemcy z właściwą sobie
pedanterią przyjdą wkrótce do mego ogród-
ka i zaczną w nim ryć. A wówczas...

Nie, stanowczo nie mogłem tu pozostawać
dłużej! Szczęściem ruiny były dosyć obszer-
ne, jedną zaś stroną nieomal przytykały do
kamienicy sąsiadującej z moim ogródkiem.
Trzeba było fizykować tam się przedostać.

I Bogu dzięki udało mi się to. Niemcy
snażąc ciągle byli zaabsorbowani słuchaniem
odgłosów dobiegających z fabryki. Przechod-
ziłem ostrożnie do oficyny. Jakaś nie-
wiasta, którą znalazłem z widzenia, poprosiłem
o przechowanie mnie. Odmówiła. Jasne, że
to nie przelewki... Wówczas przedostałem się
do drugiego domu i tam zagna właścicielka
zakładu kosmetycznego ukryła mnie w piw-
nicy. Po zapadnięciu zmroku, kiedy dowie-
działem się, że Niemcy zabrali wartę sprzed
bramy, wyostałem się z tego zagrożonego
terenu. Nazajutrz zaś wyjechałem z War-
szawy.

Wróciłem dopiero po paru tygodniach; da-
no mi znać, że sprawa ucihła. Niemcy wy-
ładowawszy swą furję na pierwszych ofia-
rach, darowali życie nawet właścicielowi fa-
bryki i temu, kto ich do niego zaprowadził.
Zabrali ich tylko na Pawiak. Obaj przeżyli
wojnę. Podziemną fabrykę zatopiono na parę
tygodni, aby zapobiec działaniu materiałów
wybuchowych. Mogłem teraz bezpiecznie
wejść na teren mego ogródka.

Jak przewidywałem, cały został zryty, prze-
kopany Zginęły w inspektach wyhodowane
pieczolowicie tulipany i hiacynty, króliki i
kozy poszły snadź na pieczeń dla panów
świata. Ale ku memu wielkiemu zdumie-
niu... wszystko, co było ukryte, pozostało na
swoim miejscu: nie tylko broń i gazetki,
które zajmowały stosunkowo niewielką prze-
strzeń, ale nawet... posagi z brązu. Rzeczy-
wiście ukryłem je dosyć sprytnie pod inspek-
tami, ale żeby Niemcy ryjąc ogród tak do-
kładnie nie dobrali się do nich, po prostu
nie chciało się wierzyć.

— Niech pan powie — kończy rzeźbiarz —
czyż ogródek mój nie był symbolem okupo-
wanej Warszawy, ba, całego naszego kraju?
Kiedy od czasu do czasu Niemcy wpadli
na ślad roboty podziemnej, mordując schwy-
tanych ludzi, zdaje im się, że w ten sposób
tłumią ruch oporu. Tymczasem to ledwie
kropla w morzu tej walki, którą rozpętał
nieugięty naród. Tuż obok tragicznej fabry-
ki zakopano mnóstwo rzeczy, a Niemcy mi-
mo zaciekle poszukiwań nie potrafili ich
znaleźć. Podobnie całe miasto podminowane
przez konspirację było jedną wielką kryjów-
ką rzeczy zakazanych — bibuły i broni. Hi-
tlerowcy zaś na próżno ryli po nim: na-
oślep niewiele się mogli doszukać. Pod tym
względem sprzyjało Polakom jakieś niepraw-
dopodobne szczęście”.

Jak trzeba grać?

BRYTYJSKI TYGODNIK „THE OBSERVER” ZAMIESZCILI WYWIAD ZE ZNAKOMITYM AKTOREM TEATRALNYM I FILMOWYM, DYREKTOREM ANGIELSKIEGO TEATRU NARODOWEGO — SIR LAURENCE OLIVIEREM.

— Jak i dlaczego postanowił pan zostać aktorem?

— Tak zdecydował mój ojciec. Zaczęłam jako mały chłopiec od występów w przedstawieniach szkolnych. Później, w oxfordzkim college'u Saint-Edward's było mi dane wystąpić na scenie tylko raz. Gdy miałem 16 lat, mój starszy brat, Dick pojechał do Indii uprawiać tam drzewa kauczukowe. Wic czorem, w dzień jego wyjazdu, byłam ogromnie niezadowolony i raz po raz pytałam ojca: Kiedy pojedzie do Dickie, do Indii? — Nie pleć głupstw Kim (tak nazywali mnie w domu) — odpowiadał ojciec. Ty będziesz aktorem. Pójdiesz do szkoły teatralnej. Tam cię przeorganizują, być może dostaniesz stypendium, a potem zostaniesz aktorem.

I tak się stało...

— Nazywają pana realistą. Co oznacza realizm w teatrze?

— Różni autorzy wnoszą do realizmu coś własnego. W szerokim pojęciu, grecki teatr, dramat okresu Restauracji, Covard i Osborne — wszyscy podchodzą w sposób odmienny do tego, co w ostatecznym rachunku można nazwać prawdziwym wcieleniem scenicznym.

Realizm nie powinien przeistaczać się w brzemień, w cel sam w sobie. Kiedyś dekoratorzy pokazali Czechowowi drzwi z dekoracji salonu: „Niech pan spojrzysz, klamka u drzwi nie jest namalowana, to jest autentyczna, terazniejsza klamka, i w sam raz odpowiada stylowi epoki”. Czechow odpowiedział: „Owszem, ale musicie panowie wiedzieć, że teatr to sztuka. Jeżeli na portrecie Rembrandta wytniecie nos i w to miejsce wetkniecie własny, to nos będzie na pewno realny, ale obraz zmieni się w bohomaż...”

Najlepiej rozumie Czechowa ten inscenizator, który w niczym nie narusza maksymalnej koncentracji widowni. Realizm nie oznacza, iż sztuka powinna kopiować życie. Polega on na tym, żeby zjawiska życia wyrażać środkami artystycznymi, a nie wprost pokazywać fakty.

— Jaki wpływ, według pana, wywiera na teatr telewizja?

— Wydaje mi się, iż popularność telewizji sprawiła, że miliony ludzi uważają spektakl teatralny za niedoścignionego towarzysza odpowiedzialnego. Każdego tygodnia,

przez długie godziny telewizor nasyci się dramatem, niezależnie od tego czy ogląda „Sagę rodu Forsytów” czy serię przygodową. Wszystko bowiem jest swego rodzaju dramatem. Jest to jednak zaledwie namiastka dramatu, która zniechęca telewidzów do oryginalnego dramatu teatralnego.

Jeśli jakiegos mroźnego wieczoru zechciałby pan oderwać małżonków od telewizora i nakłonić ich do obejrzenia spektaklu w teatrze, to, rzecz jasna, musiałby on ich bardzo zainteresować, porwać. W teatrze powinni odczuć, że uczestniczą w rozgrywanej się na scenie akcji w znacznie

stko to jest równie ważne dla zrozumienia przewodniej nici dramatu, jak to co mówi aktorzy. Kto porusza się na scenie jest tak samo ważny, jak ten, kto stoi nieruchomo, a ten kto słucha, jak ten kto mówi. Pauza jest tak samo wymowna, jak działanie. Milczenie tak samo nasycone treścią, jak słowo. Ogólne wrażenie jest znacznie słabsze, jeśli się tego wszystkiego jednocześnie nie widzi i nie słyszy. W grę wchodzi tu jeszcze inny ważny moment: osobisty kontakt z widownią. Atmosfera, jaka wytwarza się w teatrze, nie może być „przekazana” przez telewizję.

— Czy stosuje pan jakąś własną metodę w pracy aktorskiej i reżyserskiej?

— Bardzo dużą wagę przywiązuję do rytmu. Zwracam baczną uwagę na tempo mowy, precyzję w środkach mimicznego wyrazu, zmianę szybkości w poszczególnych scenach. Chcę zmiany tonacji głosu, kiedy widz tego nie oczekuje, zmuszenia go do wstrzymania oddechu, wy-

radę dał Jej Szaliapin: „Niech pani nigdy nie robi tego, czego wymaga od pani widz”. I dodał: „Niech pani nigdy nie robi wdechu, kiedy słuchacz się tego spodziewają. Wówczas nie zauważą, że zrobiła to pani w jakimś innym momencie i pomyślą, iż odśpiewała pani całą frazę na jednym oddechu. Będą zdumieni...”

Aktor, oczywiście, powinien mieć i inne walory: umiejętność odkrywania czegoś nowego (wielcy aktorzy rozszerzają horyzonty widza), zdolność postrzegania, wielką wyobraźnię, umiejętność pokazania siebie, siłę witalną.

— Czy konieczne jest dla aktora przeistaczanie się w postać którą odzwierciedla?

— Dla mnie jest to warunk obowiązkowy. Po prostu nie mogę tego nie robić. Być może inni aktorzy czują inaczej. Mam tu oczywiście na myśli przeistaczanie niepełne, inaczej można by chyba postrzadac zmysły.

sowałoby mnie to i wówczas, gdybym nie był aktorem, ale ponieważ nim jestem, dotyczyć mnie to szczególnie. Jeśli chce pan zainteresować ludzi, wzburzyć ich, coś dla nich zrobić, coś w nich mówić (a wiadomo, aktor to swego rodzaju kupiec, który sprzedaje iluzje), to powinien pan wiedzieć, czym żyją ci ludzie. A grając rolę, powinien pan wiedzieć, jaki jest ten człowiek, którego pan kreuje.

Tylko zrozumienie jego psychiki pozwoli na prawdziwą odegranie roli.

Trzeba umieć odczuć wszystko — cierpienie, strach, gorycz. W tym złożonym procesie aktor daje coś i coś zdobywa, jak w każdym emocjonalnym przeżyciu. Do tego dochodzi jeszcze fizyczne napięcie gry aktorskiej.

— Jaka z granych ról sprawiła panu największą satysfakcję?

— Rola doktora w „Wujaszku Wani”. Może dlatego, że Czechow, jak sądzę, w znacznym stopniu utożsamiał siebie z tą postacią, ale przede wszystkim odtwarzanie tej roli daje pełną świadomość, iż gra się rolę główną. Podobnego uczucia doświadczam kreując postać bohatera w „Komediancie” Johna Osborne'a.

— Co daje panu większe zadowolenie: gra aktorska czy praca reżyserska?

— Reżyseria. Wymaga ona, oczywiście, większego zaangażowania, energii, a także troski o innych, szczególnie o młodych aktorów, którzy chcą się uczyć i potrzebują rozsądnego kierownictwa nie do jednej roli, ale do całej kariery sceniczej. Jest to jedna z najprzyjemniejszych i najwdzięczniejszych stron mojej pracy w Teatrze Narodowym. Działając twórczo i dydaktycznie wzbogaca się w jakimś stopniu życie tych, którzy naprawdę kochają teatr. Mimo wszystkich obowiązków, jakie musi dźwigać na swoich barkach reżyser, praca ta jest mniej wyczerpująca niż aktorstwo. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak pożądam aktora wielkie role. Wielkie role — to niebezpieczna gra.

(S)



Andrzej Grun — Grafika

Fot. E. Kudaj

większym stopniu, niż kiedy drzemiał przed telewizorem. Pod tym względem teatr ma przewagę. Telewizja nie może odtworzyć tej specyficznej atmosfery teatru: możliwości oglądania ludzi w ich „naturalnej wielkości”, we wzajemnych związkach, w odczuciu głębi tych związków, w ocenie perspektywy odległości, w ruchu. Wszy-

beriania właściwego momentu do zaatakowania go w konkretnej scenie. Głównym zadaniem aktora jestzymanie widza w napięciu.

— Co czyni aktora wielkim?

— Umiejętność przekonania widowni o tym, że gra dobrze.

Wiele lat temu Ivona Prętan powiedziała mi, jaką

Aktor powinien w pewnym określonym stopniu utożsamiać siebie z odtwarzanym obrazem: głowy pańskich trojga dzieci rzeczywiście leżą w tym koszyku, pańska ukochana Julia leży martwa i opuściła pana na wieki. A tę oto Desdemone zadusił pan przed chwilą...

Zawsze interesuje mnie czym żyje człowiek. Inter-

rzeń, malomiasteczkowa opłisła. Tylko szczegółowe dla detektywów sprawa nie kończy się kryminatam.

W pomysłach tak sensownie rozwiniętych zawiera się wiele możliwości pokazania powszedniego życia usychającego z nudów i karmiącej się plotką prowincji, podpatrzenia obyczajowych rysów mieszkanców typowego partykularza. Są to sposobności w znacznym stopniu przez autora wyzyskane, dzięki wyostrożonemu zmysłowi obserwacji i widocznemu uwrażliwieniu na swoistą egzotykę prowincji. Pamięć okazuje się więc dostatecznie nosny literacko jako konstrukcja zręcznej fabuły, która balansuje na granicy sytuacyjnego prawdopodobieństwa, ale wydaje się zbyt ambityny, ponad miarę pisarskiego doświadczenia autora, jeśli zamierzał dać głębszy obraz współczesnego środowiska prowincjonalnego.

Pomimo bowiem dość widocznych usiłowań, podejmowanych w tej intencji (o czym świad-

czą próby dotarcia do pewnych sądów uogólniających, jak np. w rozmowach Stefana z agromonem czy w rozmyśleniach studenta) przesiłujemy się stale po sprawie najważniejszej, a przez autora jakby markowanej — w jaki sposób relikty dawnej mentalności wchodzi w swoistą symbiozę z współczesnymi normami społeczno-obywatelskimi, które w jakiejś postaci docierają z szerszego świata. To, oczywiście, arcytrudny temat, z którym mało kto sobie radzi, ale dlaczego zawiodły tu zdolności obserwacyjna Stupeckiego?

Trochę pewnie z powodu unikku zastosowanego wobec tajemniczej sprawy brzydactwa Dudy, która zapowiada się jako swego rodzaju zażalenie wątków, ale nieoczekiwania znika z naszego pola widzenia, trochę może z powodu niejednoznaczności konwencji utworu (nie brak za skakujących wstęgów surrealistycznych, jak np. scena z psy chiatrą), ale przede wszystkim z innego powodu.

Nie jest chyba zbyt trudno wykryć głównego winowajcę

owego czytelniczego niedosytu poznania prowincjonalnego środowiska, które jeśli się różni od wielkomiejskiego, to przecież nie natonym balwochwaltwem literatury i jej twórców. Satyryczne spojrzenie, tak pomocne autorowi w podpatrywaniu realiów obyczajowych, nie sprostało jednak wszystkim potrzebom powieści, a to z powodu budowania postaci z jednego tylko, dominującego rysu i skazanych przez to na jeden typ reakcji, przy czym jest to rys komicyzny. Jedynym wielowymiarową postacią Czajkówny — nie doznanej przez Stefana i bodaj przez samego autora — wylaminuje się z konwencji satyrycznego obrazka. A może konwencji... komedii charakterów? Bo właśnie mamy tu raczej do czynienia z postaciami scenicznymi, wymagającymi dopełnienia przez aktora, niż z powieściowymi. Oprócz — Stefana.

W tym sympatycznym młodym człowieku, obdarzonym sporą dozą samoświadomości,



MALWY NA KAUKAZIE

Jest w tej książce współczesność i historia — notatnik z podróży graniczy z esejem historyczno-literackim, reportaż ociera się o wspomnienia. Opisy tom „szkiców z podróży” — bo tak właściwie można określić tę książkę — czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. I to nie tylko dlatego, że Kubacki pisze sporo o śladach Polaków na Kaukazie a wiadomo, że o rodakach zawsze mało coś ciekawego przeczytać.

„Malwy na Kaukazie” to także odkrycie dla polskiego Czytelnika fascynującej kultury Dagestanu, Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu. Punktem wyjścia dla autora — wybitnego pisarza, eseisty i historyka literatury — były boga te i doniosłe historycznie stosunki, jakie łączyły Polskę z Kaukazem od początków XIX wieku. Zresztą penetracje Kubackiego sięgają także czasów dawniejszych, przywołują pamięć związków kulturowych Kaukazu z innymi krajami Azji i Europy.

Barwne, plastyczne opisy zabytków, krajobrazów, obyczajów dawnych i obecnych, historia losów Kaukazu, ciekawe postacie z najdawniejszej przeszłości i ludzie współcześni — wszystko to żyje na kartach książki Kubackiego, sprawia, że lektura „Malw” to nie tylko ogromna porcja wiedzy, ale i prawdziwie przeżyte estetyczne.

Malwy rosnące „pośród spiętrzonej dokoła grzyby obcości” spółka Kubacki na Wojenno-Gruzinińskiej Drodze. Były śladem polskości w tym dalekim kraju. O tym, że to nie jedyny ślad, że Polacy dobrze zapisali się w historii, nauce i kulturze Kaukazu przekonuje nas ta pasjonująca pełna erudycji książka.

J.W.

Wacław Kubacki „Malwy na Kaukazie” Czytelnik 1969, cena 22 zł.

JERZY KWIECIŃSKI

Niełatwy temat — prowincja

Humor jako postawa intelektualna, uznawany w życiu prywatnym, nie jest wcale w naszej nowszej literaturze — ani u piszących, ani u oceniających. Może dzieje się tak z winy tzw. twórczości satyrycznej, czyli tych licznych utworów — rymowanych lub nie, które, choć pożyteczne społecznie jako interwencyjna forma doradczego oddziaływania, nie mają nierzadkiej wartości literackiej. Ale jakże często satyra, której nie da się określić mianem prozy literackiej, poezji czy dramatu, bywa pomimo tego zaliczana do literatury.

Takie rozważania wokół debiutu książkowego Tadeusza Stupeckiego można snuć bez zakłopotania, ponieważ przyniesła tak pojętej satyry tylko z rzadka śluga jego utwor

w regiony leżące poniżej literackich progów.

Opowieść osnuta jest na świetnym pomysle. W czasie letnich wakacji do małej „zabitej deskami” miejscowości przyjeżdża młody człowiek, poprzedzony jakąś jeśli nie wybitnego, to w każdym razie obiecującego pisarza. W rzeczywistości, Stefan pragnie poratować pustą studencką kieszeń przez napisanie reportażu z tej właśnie miejscowości dla czasopisma redagowanego przez przyjaciela. Pod naciskiem okoliczności zaczyna serio traktować przypisaną mu rolę i stopniowo nabiera zbudnego przekonania o własnym talencie pisarskim. Nieprzychylnie wiatry strącają jednak naszego bohatera z piedestału, na który wyniosła go, zdezorientowana, a spragniona niezwykłych wyda-

może i drzemie talent literacki, którego mu odmaula autor. Broniłbym interesujących zapisków Stefana, z wyjątkiem jego rozważań o literaturze. Nie mogły u pomóc...

„Tamtó dziwne lato” czyta się z zainteresowaniem. Książka napisana jest sprawnym piórem, które swobodnie posługuje się językiem publicystyki, niezbyt dbały o urodę prozy, o bogactwo środków wyrazu, sławiące w odcieniach znaczeniowych literackiego słowa. To zresztą nie tyle przygana, ile refleksja nad młodą rodzimą literaturą. Bo może walor literacki słowa przestaje być istotnym wyróżnikiem rodzaju epickiego, a artystyczne słowo pozostanie domową lirycz?

*) Tadeusz Stupecki „Tamtó dziwne lato”, Wydawnictwo Łódzkie 1969, str. 236.

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

W drugiej połowie upalnego sierpnia 1939 roku nasila się ofensywa V kolumny hitlerowskiej w Polsce.

16 sierpnia wicekonsul Schueller z generalnego konsulatu niemieckiego w Katowicach odbywa podróż służbową do pobliskiego Bytomia, aby stamtąd nadać do Oddziału Politycznego berlińskiego MSZ telefonogram o specjalnie wystrzonej treści. Urzędnik Oddziału Politycznego zanotował:

Konsul zakomunikował „jakoby po twierdzeniu się miały obawy konsulatu generalnego dotyczące spodziewanych aresztowań Volksdeutschow (...) u wielu Volksdeutschow przeprowadzono rewizje domowe, a następnie aresztowano — szacunkowo — kilkuset z nich, w tym wielu przywódców organizacji narodowościowych, o ile uprzednio nie zdolali zbiec”...

20 sierpnia Oddział Polityczny hitlerowskiego MSZ tak oto już pre parował na podstawie w/w doniesień niemieckiej służby dyplomacji czno-konsularnej „sprawozdanie z sytuacji w Polsce”:

„Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymuje w ostatnich miesiącach stale od niemieckich konsulów w Polsce raporty o straszliwych szykanach na jakie narażeni są coraz bardziej — ze strony pojuzdowanych i stanatyzowanych do ostateczności Polaków — tu tejsi Volksdeutsche (...) Uzasadnione jest pytanie, jak dalece wykrezenia te tolerowane są wzięcie inspirowane przez władze. Mimo oficjalnych zapewnień udzielanych ambasadzie niemieckiej w Warszawie przez kompetentne czynniki polskie, iż rząd polski angażuje cały swój autorytet, aby przeszkodzić prześladowaniom Niemców, nie można oprzeć się wrażeniu, że kolia oficjalne popierają według możliwości hece antyniemieckie, aby w ten sposób utrzymać w narodzie polskim nastroje wojenne”.

23 sierpnia ten sam urzędnik (Bergmann) relacjonuje von Ribbentropowi:

„Według komunikatu ministerstwa spraw wewnętrznych Rzeszy — do dnia 21 sierpnia zakwaterowano w przejściowych obozach dla uciekinierów z Polski 70.000 Volksdeutschow. Z tego 45.000 pochodzi z polskiego Górnego Śląska i terenów Zaolzia. Nie wliczeni są uciekinierzy, którzy schronili się na terytorium gdańskim, jak również wszyscy ci, którzy bez przechodzenia przez obozy znaleźli schronienie u krewnych lub znajomych w Rzeszy”.

70.000 uciekinierów przeszło zatem przez owe „całkowicie zamknięte i gęsto obsadzone wojskiem granice”. 70.000 ludzi, przeciw którym polska „akcja” ciągle „była w toku”...

Tymczasem z Gdańska (23 sierpnia) telefonował do Berlina wicekonsul von Grohman: „około godziny 14,25 (...) nad Półwyspem Helskim (...) ostrzelany został przez Polaków samolot pasażerski regularnej linii Berlin — Gdańsk — Koenigsberg (...) Tylko przez przy padek samolot nie został trafiony”.

Inny z urzędników berlińskiego MSZ (Schultz-Sponholz) zamykał w sejfach na Wilhelmstrasse w dniu 24 sierpnia kolejną wiadomość:

„Oprócz meldowanego wczoraj ostrze lania samolotu Lufthansy (...) istnieją dwa dalsze doniesienia (...) Pilotowany przez Boehnera (...) samolot, pod czas lotu z Gdańska do Berlina, ostrzelany został przez artylerię przeciwlotniczą polskiego krakowianina (?) w odległości 40 km od wybrzeża hel skiego (...) Dymy eksplozji 8 pocisków zaobserwowane były w dużej odległości od maszyny (...) Maszyna typu Ju 86, pilotowana przez Neumanna, (...) ostrzelana została z Helu (...) Strzały były za krótkie i niskie”.

„Opatrzność wyraźnie czuwała nad lotnikami Lufthansy, niemiecki Herrgott ratował — jak widać — potencjalne ofiary krwiożerczych Polaków...”

w Niemczech ruchów wojsk oraz zastanawiano się nad pogłoskami o mającym rychło nastąpić podpisaniu niemiecko-radzieckiego paktu o nieagresji. To ewentualne wydarzenie nie miało „w niczym zmienić zobowiązań wobec Polski”. Postanowiono, że w najbliższy czwartek zwołane zostanie posiedzenie obu izb parlamentu. Rząd pragnął przedstawić izbowi parlamentarnym projekt uchwały o specjalnych pełnomocnictwach dla rządu, na wypadek gdyby sytuacja wymagała szybkiej reakcji. Przed komisjami parlamentarnymi miano postawić również zagadnienia częściowego pogotowia

został sukcesy (...) Chce przekazać panu raz jeszcze mój pogląd, że wojna między naszymi obydwoma narodami oznaczałaby największą katastrofę, jaka w ogóle mogłaby się wydarzyć. Jestem przekonany, że ani mój naród ani naród pański wojny nie chce. Nie mogę przyjąć, że istniejące między Niemcami a Polską kwestie sporne są takimi których nie można by załatwić bez użycia siły, gdyby tylko przy wrócenie zostało zaufanie umożliwiające prowadzenie rokowań w atmosferze lepszej niż dzisiejsza”.

Chamberlain deklaruje dalej gotowość współtworzenia odpowiednich „warunków wstępnych” do podobnych rokowań.

Hitler odpowiedział następnego dnia, w rozmowie przeprowadzonej z ambasadorem brytyjskim w Berchtesgaden:

„Oświadczyłem rządowi polskiemu, że dalsze kontynuowanie prześladowań ludności niemieckiej spowoduje natychmiastowe działanie Rzeszy. Jak się dowiedziałem — pan Chamberlain przede widuje wzmożenie przygotowań woj skowych w Anglii. Przygotowania niemieckie mają jedynie charakter obrony. Jeśli dowiem się dziś lub jutro o dalszych krokach brytyjskich, — zarządzą natychmiastowa mobilizacją powszechną w Niemczech!”...

— Oznaczałoby to nieuchronność wojny! — wtrąca Henderson.

— Zarządzą mobilizacją powszechną! — z naciskiem powtarza Hitler. — Gdyby nie było Anglii, osiągnąłbym w roku ubiegłym pokojowe porozumienie z Czechosłowacją, a w tym roku na pewno z Polską w sprawie Gdańska (...). Pan Chamberlain nie mógłby uczynić nic lepszego w kierunku zjednoczenia całego narodu niemieckiego wokół mnie, niż uczynił swoim wystąpieniem w sprawie Gdańska i swoją próbą propolskiego załatwienia sprawy Gdańska! Powtarzam jeszcze raz: W Niemczech proklamowana zostanie mobilizacja powszechna, jeśli Anglia podejmie jakiegokolwiek dalsze kroki wojskowe. To samo dotyczy Francji!... Uczyniłem wszystko, co w ludzkiej mocy. Anglia robi sobie ze mnie, człowieka, który chciał być jej przyjacielem — wroga. Teraz Anglia pozna Niemcy zupełnie inne od tych, jakie sobie Anglia przez tyle lat wyobrażała!

Henderson: — Czy to groźba?

Hitler: — Nie, to jest posunięcie obronne!... Rząd brytyjski wybiera wszystko inne, tylko nie współpracę z Niemcami. W swej woli niszczenia woli Anglia opierać się o Francję, zwracać się do Turcji, do Moskwy!

Henderson: — Anglia nie chce niszczyć Niemiec!

Hitler: — Jestem przekonany o zupełnie czym innym. Dlatego budowałem za 9 miliardów Westwall, aby uchronić Niemcy przed atakiem z Zachodu!... Jeśli dojdzie do wojny, będzie to wojna na śmierć i życie, biorąc pod uwagę brytyjskie intencje. Anglia będzie miała więcej do stracenia!

Henderson: — Według Clausewitza wojna przynosi zawsze niespodzianki. Jeśli o mnie chodzi, wyra-

żam tylko przekonanie, że każdy wykona swój obowiązek.

Hitler: — Niemcy nigdy nie działali na niekorzyść Anglii, a mimo to Anglia jest przeciw Niemcom. Ot, choćby sprawa Gdańska i Polski. Anglia zajmuje stanowisko „raczej wojna niż cokolwiek korzystnego dla Niemiec!”. To, że Anglia przy tzw. problemie gdańskim ustawiła się przeciw Niemcom — wstrząsnęło całym narodem niemieckim.

Henderson: — Przeciwwstawiliśmy się tylko metodzie stosowania siły!

Hitler: — A czy Anglia widzi możliwość załatwienia któregośkolwiek z wersalskich idiotyzmów na drodze rokowań? Do miłości zawsze potrzeba dwojga!

Henderson: — Ja osobiście nigdy nie wierzyłem w anglo-francusko-rosyjski pakt. Osobiście wolę, że Niemcy będą miały pakt z Rosjanami, niż gdyby Anglia miała go zawrzeć z Rosją.

Hitler: — Oby się pan nie omylił! Ten pakt niemiecko-radziecki o nieagresji — (przyp. mój, S. J.) będzie paktem długotrwałym!... Do rzeczy: odpowiedź pisemna (na list Chamberlaina — przyp. mój, S. J.) doręczona zostanie panu dziś po południu. Żegnaj pana!

Rozmówcy pożegnali się. Von Loesch zabezpieczył stenogram rozmowy w sejfie MSZ.

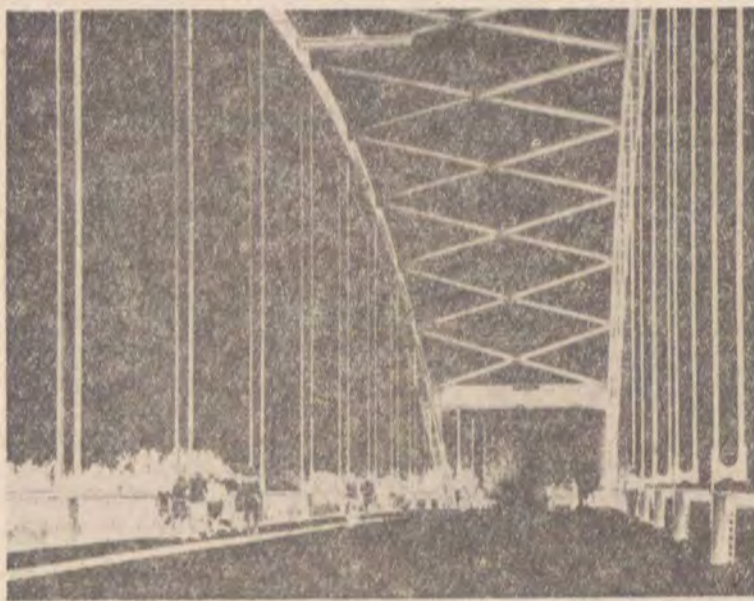
* * *

25 sierpnia Hitler uznaje, że nadszedł czas „pieczenia chleba z maki” dostarczanej przez dyplomatyczną i pozadyplomatyczną V kolumnę w Polsce. Wzywa do siebie brytyjskiego ambasadora i oświadcza mu m. in.: „Polskie akty prowokacji stały się nie do zniesienia, bez względu na to, kto jest za nie odpowiedzialny (...). Nastąpiły (...) incydenty graniczne (...). Strona niemiecka zachowała maksymalną dyscyplinę. Wszystkie incydenty spowodowane zostały przez stronę polską (...). Niemcy są zdecydowane położyć kres „macedońskim stosunkom” na swojej wschodniej granicy (...). Problem Gdańska i Korynta musi zostać rozstrzygnięty (...). Tym razem Niemcy nie będą miały wojny na dwa fronty (...). Rosja i Niemcy w żadnym wypadku nie podniosą nigdy więcej broni przeciw sobie (...). Wojna między Anglią a Niemcami może — co najwyżej — przynieść korzyści Niemcom, Anglii na pewno nie. Problem niemiecko-polski musi być załatwiony i zostanie załatwiony (...). Jestem gotów po uregulowaniu tego problemu raz jeszcze wystąpić wobec Anglii z całym kompleksem pro pozycji”...

25 sierpnia lord Halifax w imieniu W. Brytanii i Edward Raczyński w imieniu Polski podpisali w Londynie pakt o wzajemnej pomocy.

Od wybuchu wojny dzielili Europę zaledwie tydzień.

Tajemnice dyplomatycznych sejfów z roku 1939 (4)



* * *

Tymczasem na arenie międzynarodowej: 18 sierpnia ambasador Henderson oświadcza w Berlinie w imieniu Wielkiej Brytanii, że „Polacy nie pójdą na żadne prowokacje... O to postara się już rząd brytyjski”. Jednocześnie ambasador — przestrzegając rząd Rzeszy, aby „nie poddawał się złudnym nadziejom, że Anglia może nie dostarczy Polakom pomocy w postaci dostaw broni”. On, Henderson, „zna dobrze obecną sytuację w Anglii”...

22 sierpnia odbyło się w Londynie posiedzenie gabinetu ministrów, poświęcone omówieniu aktu alnej sytuacji międzynarodowej. Poruszono problem zauważonych

Królewskiej Marynarki, armii, floty powietrznej, obrony przeciwlotniczej i tzw. obrony cywilnej. Jednocześnie rząd brytyjski wyraża oficjalne przekonanie, że w „aktualnym konflikcie niemiecko-polskim nie ma nic takiego, co by mogło usprawiedliwić zastosowanie siły i spowodowanie wojny światowej z jej wszystkimi tragicznymi następstwami”...

Tego samego dnia — 22 sierpnia — premier Chamberlain pisał do Hitlera:

„Rząd Jego Królewskiej Mości jest zdecydowany i gotowy, w razie zaistnienia konieczności, zaangażować się bezwzględnie wszystkimi dostępnymi mu siłami (...). Złudzeniem byłaby wiara, że wojna raz rozpoczęta skończy się szybko, nawet gdyby na którymś z frontów osiągnięte miały

Było to w trzecim roku mojej pracy w łódzkiej „Expressie Wieczornym Ilustrowanym”, kończyłem już dwadzieścia lat, ale żadnej stałej pensji w redakcji jeszcze się nie dosłużyłem, nie doczekałem jej zresztą do wybuchu wojny. Miałem tylko gołą, przeważnie nawet bardzo gołą wierszówkę. Propozycja pana arbitra odpowiadała mi więc niezmiernie.

— Ślicznie dziękuję... A... jak długo może potrwać ten turniej?

— Około sześciu tygodni, o Bo, naturalnie, dopisze frekwencja. Dlatego sprawozdania muszą być ciekawe, z ikrą, rozumie pan?

— Oczywiście!

— Będzie pan co wieczór po walkach przychodził do „Polonii”, mam tam pokój i maszynę do pisania. Najpierw na brudno, poprawię co trzeba, potem w siedmiu kopiach na czysto i portier hotelowy roznieśli maszynopisy do nocnych redakcji.

Walkami francuskimi entuzjastkowałem się od najmłodszych lat. Gdy odbywały się w Łodzi turnieje, codziennie rano, przed pójściem do szkoły, chwytalem gazetę i z wypekami na twarzy chłonałem opisy spotkań w cyrku Cini-sellego. Cyrk rozbił wówczas namioty na tyłach posesji przy dzisiejszej ulicy Obronców Stalingradu, tuż za Zachodnią, na placu po spalonym przed pierwszą wojną teatrze, gdzie później stanęło kino „Apollo”. Pinecki, Garkowienko, Jan Jaago — to byli moi ulubieńcy. I Murzyn Bambula, o którym ułożyłem kiedyś dwuwiersz na przeciągającej się lekcyjki matmy: „Murzyn czarny jak atrament ma diabelski temperament”. No i maski! Czarna maska, Czerwona maska, Purpurowa maska! Próbowalem odgadnąć kto ze znanych zapasników ukrywa się pod nimi. Imponowali mi ci si-

łecz o torsach ze spiżu, ale nigdy dotąd na walkach nie byłem. Spotkania odbywały się wieczorem, gdy szedłem spać, zresztą kto by mi w domu pozwolił tam iść? Atletów znałem tylko z opisów w gazetach i ze zdjęć, zamieszczanych w niedzielnych dodatkach ilustrowanych. Opisy zaś były tak szczegółowe, że bez trudu odróżniałem tour de bras od tour de tete, wiedziałem co to jest parter i łamanie mostku, młynek, pojedynczy i podwójny nelson oraz makarony. Szczególnie fascynował mnie podwójny nelson, chwyt w moim przekonaniu najsukuczniejszy, wypróbowany zresztą nieraz przeze mnie na kolegach w szkole, w przerwach między lekcjami. Staralem się go zawsze tak zakładać jak to czynił Leon Pinecki, moje bożyszcze. A teraz, teraz co wieczór miałem naocześnie przeżywać te wszystkie emocje, wejście za frajer, no i trzydziści pięć złotych tygodniowo!

Zwierzyłem się panu arbitrowi, jak bardzo mi frapowały walki francuskie w szkolnych czasach, błysnąłem znajomością terminologii zapasniczej i zapewniłem o swych najlepszych chęciach. Dał mi a conto dwadzieścia złotych i zapłacił za moją herbatę.

Cyrk znajdował się w górze ulicy Narutowicza, po nieparzystej stronie, naprzeciwko Sądu Okręgowego. Posiedziłem tam kilkanaście minut wcześniej, chciałem wczuć się w atmosferę. Ludzie dyskutowali, typowali zwycięzców, zakładali się kto wygra i zuli kanoldy (pięć irtysów za 20 groszy, z lewej i prawej strony śmietankowy, następnie po jednym kakaowym, a w środku kawowy, najlepszy!). Chcąc się lepiej poczuć w siodle, podałem moje passe-partout ogłowej próbie — wszedłem, wyszedłem, znowu wszedłem, za każdym razem przepuszczany z należytymi honorami przez obsługę, wreszcie rozsiadłem się w reprezentacyjnej łozy i rozejrzałem po widowni. Towarzystwo było mieszane. Panowie w czarnych deklach, i w cyklistówkach z szalikami na szyi zamiasz krawatów, mnóstwo kobiet, starzy, młodzi, wyrostki i szkolnym wieku. Rozgorączkowane oczy widzów były skierowane na czarny prostokąt pod orkiestrą, skąd mieli zaraz wyjść zapasnicy.

I wreszcie: ta-ram-tam-tam-tra-ta-tam-tam — orkiestra zagrała „Marsza gladiatorów”, rozsunęła się kotara i na oświetloną a głośno arenę weszli wita- ni huraganem oklasków i okrzykami atleci. Prowadził ich mój arbiter pan Józef Brański!

Notes miałem już przygotowany, spojrziałem jeszcze na zegarek, czy przypadkiem nie stanął, bo „czasy bardzo się liczą w sprawozdaniach sportowych” — uprzedził mnie pan Brański.

Walki nie rozczarowały mnie, to były naprawdę silne emocje! Miałem świetną okazję skonfrontowania mego przygotowania teoretycznego z tym, co się rozgrywało na macie. Zaden ciekawszu chwyt nie uchodził mojej uwagi, notowałem też skrupulatnie zwischnofy publiczności, a po końcowym gwizdku, gdy pokonany zapasnik odezwał przepisowy moment na obydwu łopatkach — pobiegłem do tramwaju, który mnie dowiozł do „Polonii”.

Jakże piękna maszynę miał pan Brański! Był to cichopiszący, prawie bezszmerowy „Remington-Noisless”, o pakownym, drobnym kroju czcionek. Całe życie chorowałem na taki cud-portable, ale nigdy nie udało mi się go zdobyć. Tak jak się umówiliśmy, napisałem na brudno. Wyszło trochę za dużo, całość nie mogła mieść więcej niż półtorę kartki maszynopisu. Skreśliłem mniej istot-

ADAM OCHOCKI

Reporter przed konfesjonalem

Na obydwu łopatkach

Do redaktora Polaka na pierwsze piętro schodziłem z duszą na ramieniu. Szef wzywał mnie do siebie tylko wówczas, gdy coś przeszkobałem, a tu jeszcze ten osiek Roman, pełniący w redakcji funkcje wydajdajły i woźnego, śmieje mi się bezczelnie prosto w twarz.

— Pan redaktor powiedział, żeby pan zaraz zszedł na dół. Bo mu się śpieszy — dodał.

Gabinet naczelnego był drugi od wejścia, w pierwszym siedzieli Sandmer i Cukier, poprawiając z benedyktyńskiej cierpliwością materiały do niezliczonych mutacji naszego „Expressu”. Wchodziło się do szefa wprost z korytarza, instytucji sekretarki wówczas jeszcze nie zna no.

Oblicze Jowisza było jak zwykle kamienno-spokojne, nieodgadnione. Obok niego, między biurkiem a żaluzjową szafką pełną tekturowych matryce, siedział sympatyczny, lysawy brunet, o zakrąglonym brzusku, w białej sportowej koszulce z krótkimi rękawami.

— Pan się przedstawił. To pan Józef Brański, arbiter walk francuskich.

Arbiter wyciągnął do mnie rękę, mile uśmiechając się.

Właściwie nic nie wróżyło burzy, ale postanowiłem mieć się na baczności,

często bowiem największe awantury zaczynają się w podobny sposób: opsmarowani przeze mnie delikwenci zawsze najpierw uśmiechali się.

— Pan Brański chce dać panu zarobić... —

Przez moment ujrzałem siebie w trykocie sportowym nad powalonym przeciwnikiem, z wyciągniętą ręką, która pozdrawiałaem wiatującą na mą cześć tiumy. Ale również szybko zreflektowałem się, że moje występy na arenie cyrkowej raczej nie wchodzi w rachubę, rozluźniłem mięśnie i bąknąłem coś pod nosem.

— No to panowie już się sami rozmówią — powiedział szef i kiwnął nam głową na pożegnanie.

Z gabinetu wycofywałem się z przyzwyczajenia tyłem, przepuszczając kurtuzyjnie Brańskiego, który mnie zaprosił do „Grand-Café” i tam wyluszczył wszystko dokładnie.

— Chcę, żeby pisał pan sprawozdania z walk dla prasy łódzkiej. Dostanie pan stałe passe-partout!... — tu pan arbiter zawiesił głos, zabębnił palcami po blacie stolika, po czym rzucił, wpijając we mnie czarne, gorejące oczy: „trzydzieści pięć złotych tygodniowo”.

PAMIĘTNIK FRONTOWEGO LEKARZA

5 września zostałem zmobilizowany. Otrzymałem przydział komendanta szpitala wojennego w Skierniewicach. Tymczasem Niemcy byli już pod Piotrkowem. Udałem się do punktu mobilizacyjnego, by niezwłocznie rozpocząć pracę, bo w tych warunkach nie ma ani minuty do stracenia. Otrzymałem odpowiedź: „Nie wolno, zacznie pan dopiero jutro o godz. 7. Tymczasem w nocy o godz. 3 zostałem wezwany do dowództwa szpitala okręgowego, gdzie otrzymałem rozkaz niezwłocznego wyjazdu do Grodziska. Z Grodziska kazano mi jechać do Garwolina, stamtąd do Lublina. Zameldowałem się 7-go rano w stacji zbiornej, skąd skierowano mnie do Dubna celem urzędzenia szpitala.

W Dubnie 10-go urządziłem szpital, całe urządzenie otrzymałem z tamtejszego szpitala. Przyjąłem 100 rannych, którzy otrzymali pierwsze opatrunki. 12-go szef departamentu sanitarnego rozkazał jechać do Kopyczyniec. Wyjechałem dopiero 15-go. W Kopyczynicach zakwaterowałem się u hr. Barworskiego. W sobotę 16-go wieczór graliśmy w bridża. Po skończeniu grze powiedziałem hrabiemu: „Jest to pierwszy bridż w tej wojnie, weźmy to za dobrą wróżbę”.

Nazajutrz skierowano mnie do Kołomyi. Dojechalśmy nad Dniestr. Stało tam kilkadziesiąt samochodów osobowych i ciężarowych. Samochody osobowe były przewożone przez prom, ciężarowe jechały bezpośrednio przez rzekę z przewodnikiem. Dzień był bardzo upalny. Przyjechalśmy do Kołomyi dopiero o godz. 21. Tam powiedział mi, że już od rana nie ma ani jednego polskiego żołnierza, że jedyną wolną drogą prowadzi na południe do Kossowa. Droga ta była zawałona samochodami. Posuwaliśmy się bardzo wolno i tak dopiero o godz.

10-ej znaleźliśmy się w Rumuni. Otrzymałem przydział komendanta szpitala wojennego w Skierniewicach. Tymczasem Niemcy byli już pod Piotrkowem. Udałem się do punktu mobilizacyjnego, by niezwłocznie rozpocząć pracę, bo w tych warunkach nie ma ani minuty do stracenia. Otrzymałem odpowiedź: „Nie wolno, zacznie pan dopiero jutro o godz. 7. Tymczasem w nocy o godz. 3 zostałem wezwany do dowództwa szpitala okręgowego, gdzie otrzymałem rozkaz niezwłocznego wyjazdu do Grodziska. Z Grodziska kazano mi jechać do Garwolina, stamtąd do Lublina. Zameldowałem się 7-go rano w stacji zbiornej, skąd skierowano mnie do Dubna celem urzędzenia szpitala.

W Tulczy sprzedawałem samochód, zdobywszy w ten sposób leże rumuńskie. W Callmanesti żądano od nas zobowiązania na piśmie pod słowem honoru, że nikt nie wydał się bez zezwolenia władzy rumuńskiej. Zapowiedziałem lekarzom, że danie słowa honoru w tej sytuacji jest dla oficera niedopuszczalne. Tylko jeden lekarz pozostał w Callmanesti, my wszyscy zostaliśmy przewiezieni do Targoviste do obozu zamkniętego drutem kolczastym. Był to oboz wyłącznie dla generałów i oficerów sztabowych. Ja zostałem wybrany przez kolegów naczelnym lekarzem.

Stosunki z dowództwem rumuńskim ułożyły się pomyślnie. Wyjechałem kuchnię die tetyczną dla chorych oficerów, opiekę lekarską dla rodzin oficerskich w mieście Tergoviste, prawo leczenia oficerów w rumuńskim szpitalu. Poza tym oficerowie uciekający na zachód wychodzili z obozu w moim towarzysztwie, gdyż posterunki rumuńskie znały mnie i nie odważyłyby się mnie zaczepić. Udałem się również na audiencję do premiera rumuńskiego. Wyjechałem dla lekarzy zezwolenie zamieszkania w mieście.

W styczniu Niemcy zabrali nas do niewoli, a rodziny nasze wysłali przez Wiedeń do Krakowa. Jechaliśmy kilka dni do obozu Kaiser Lautern. Stamtąd odwieziono nas do obozu jenieckiego Oflag VI.E w Dorsten w Westfalii. W Oflagu objąłem obowiązki starszego służby zdrowia. Starszym obozu był generał Berbecki. Okazał się on bardzo uległy wobec Niemców. Musieliśmy oddawać nasze li-

Zmarły przed rokiem w naszym mieście lekarz medycyny płk dr Henryk Trawiński pozostawił po sobie obszerny tom wspomnień. Poniżej drukujemy fragmenty tych wspomnień. Obok waleorów poznawczych ukazują one postawę, pewien swoisty sposób myślenia i zachowania przedwojennych polskich oficerów wyższej rangi w czasie kampanii wrześniowej, w niewoli jenieckiej i natchemiasz po wyzwoleniu na Zachodzie. Płk dr A. Trawiński był jednym z pierwszych oficerów, którzy po zakończonej wojnie powrócili do kraju. Wrócił do Łodzi i natchemiasz przystąpił do organizowania społecznej służby zdrowia. W dowód uznania i zasług otrzymał szereg wysokich odznaczeń od rządu PRL.

RED.

oddawał je Niemcom do cenzury. Poza tym nakazał salutować wszystkim oficerom niemieckim, nawet najmłodszym. Pewnego razu podczas mego pobytu w kancelarii generała wszedł podporucznik niemiecki. Generał stanął na baczność, ja nie ruszyłem się z krzesła. Generał Berbecki był bardzo niechętny przez wszystkich generałów, raz wymógł mi, że moim stałym partnerem brydżowym był generał Skwarczyński.

Nie zapomnę jednej sceny, jaką obserwowałem w obozie. Przybyło do szpitala kilku niemieckich oficerów, z kapitanem. Ten kazał stawić się pełnemu polskiemu personelowi i wszystkim chorym polskim jeńcom. Kapitan niemiecki podał im do wiadomości rozkaz Fuchrera mówiący: „Wszyscy jeńcy polscy zostają zwolnieni z niewoli i wypuszczeni na wolność. Jeżeli jednak ktoś z nich życzy sobie nadal zostać w niewoli, niech wystąpi na prawo”.

Kiedy dolmęcz rozkaz ten przetłumaczył zebrany, wszyscy wystąpili na prawo. Jako jeńcy mieliśmy zapewnione pewne prawa według Konwencji Haskiej.

W roku 1943 urządziliśmy wigilię Bożego Narodzenia w polskiej świetlicy w Stalagu. Byli tam oficerowie, oficerowie. Ściany świetlicy były bogato udekorowane polskimi chorągiewkami, a szczytowej ścianie wywiesiliśmy dużego polskiego Orła.

Punktualnie o godz. 18 zjawili się: niemiecki kapitan z porucznikiem. Kapitan rozglądając się powiedział: „Sehr schoen dekoriert”, a gdy zobaczył polskiego Orła, zbladł i krzyknął: „Was ist das?” — Pan bardzo dobrze wie — odpowiedziałem — to jest polski Orzeł.

1 kwietnia zajęli szpital Amerykanie. Niewola się skończyła. W dwa dni po zajęciu szpitala — Amerykanie wy-

wieźli wszystkich chorych jeńców amerykańskich i angielskich, wśród których było wielu oficerów, zestrzelonych lotników wraz z czterema lekarzami amerykańskimi.

1 maja przed południem odwiedził mnie szef sanitarny amerykańskiego korpusu zawiadamiając, że postara się znaleźć lepsze miejsce dla szpitala. Tego dnia około godz. 21 zjawił się ponownie, wyjął z torby kilka flaszek wina mówiąc: „To wino dziś wypijemy, a jutro rano jedziemy z całym szpitalem do Duisburga”.

2 maja około południa przyjechalśmy do Duisburga. Był tu wspaniały urządzone szpital w murowanych jednopiętrowych barakach. Sanitariuszki niemieckie licząc się z okupacją francuską wręczyły francuskim lekarzom kwiaty. Następnego dnia po południu młody lekarz amerykański wezwał wszystkich lekarzy i oświadczył, że w szpitalu pozostaną jeńcy francuscy, włoscy i serbscy, a Polacy ze mną wrócą do poprzedniego szpitala, gdzie będą czekali na powrót do kraju. Odmówiłem. Na to ów lekarz odpowiedział: „Niech Pan nie zapomina, że rozmawia Pan z amerykańskim oficerem”. Na to ja oświadczyłem: „Pan niech nie zapomina, że rozmawia Pan z polskim oficerem, który był już oficerem, kiedy Pana długo jeszcze nie było na świecie”.

Wstałem i wyszedłem. Następnego dnia udałem się do sztabu amerykańskiego korpusu. W sztabie korpusu przyjęło mnie bardzo uprzejmie, zaproszono na lunch i oświadczone, że zostanie odwieziono samochodem do Paryża.

12 maja dostałem się do Paryża. Po przeprowadzonej weryfikacji wręczono mi 10,000 franków oraz 10-kilową paczkę żywnościową i odwieziono mnie do ogniska oficerów polskich w Vincennes, gdzie

otrzymałem pokój w hotelu Condamine.

Następnego dnia zgłosiłem się w sztabie naszego wojska. Tam otrzymałem 8-tygodniowy urlop do Aixlesbains dla odpoczynku po niewoli. Po skończeniu urlopu zwróciłem się do urzędującego tam ministra Jędrzychowskiego z prośbą o powrót do kraju. Zostałem bardzo serdecznie przyjęty. Pan minister powiedział mi, że muszę trochę poczekać, gdyż zostaną wysłany do kraju jako dygnitarz samolotem, a o miejsce w samolocie jest dość trudno. W ognisku oficerskim przebywałem głównie w towarzystwie generałów. Bardzo zaprzyjaźniłem się z generałem Bortnowskim. Poznałem w nim człowieka bardzo mądrego i wnikliwego.

W sztabie naszego wojska otrzymałem przydział wizytatora obozów wojskowych na terenie Francji. Najdłuższą trwał wizytacja w Sorgue 12 km od Avignon. Zamieszkałem w hotelu w Avignon, otrzymałem angielską kwatery z łazienką. Rano wyjechałem autobusem do obozu, a wieczorem po kolacji wracając do Avignon. Raz musiałem wrócić do hotelu po obiedzie. Przy wsiadaniu do autobusu nasz sierżant powiedział, że angielski pułkownik dowódca obozu prosił, bym o godz. 17 wstał do kawiarni, on tam będzie czekał na mnie, by odwieźć mnie swoim samochodem do obozu na kolację. Stawiałem się punktualnie. Pułkownik przywitał mnie bardzo uprzejmie, pytając czy życzę sobie rozmawiać z nim po angielsku, czy po francusku. Powiedział mi, bym nie spieszył się z powrotem do Paryża, on daje mi trzytygodniowy urlop, bym wyjechał na Riwierę i poznał całą południową Francję, a przez ten czas będzie dla mnie zarezerwowany pokój w hotelu w Avignon.

W kilka dni później odwieźli mnie generał Bortnowski. Powiedziałem mu, że muszę zwierzyć się w pewnej sprawie, ale pod warunkiem, że da mi pod słowem honoru odpowiedź, choćby miał odejść bez podania mi ręki. Generał wyciągnął rękę mówiąc: „Ma pan moje słowo honoru”.

Wówczas powiedziałem: — Zgłosiłem się do powrotu do kraju.

Na to generał: — „Ja odpowiadam pod słowem honoru. Generałowie dużo mówią o panu i wszyscy są zdania, że pan powinien jak najprędzej powrócić do kraju. Jeżeli chodzi o generałów, wszyscy ma-

my tylko jedną ambicję, wrócić jak najprędzej do kraju. Ale dopóki nie będziemy mieli pewności, że w kraju będziemy słuchać tylko polskiej wladzy, nie wolno nam wracać”.

Po tej rozmowie udałem się do pułkownika Naszkowskiego. Przyjął mnie major Komar, a kiedy zameldowałem pułkownikowi Naszkowskiemu, pułkownik wyszedł mi na przeciw, przywitał bardzo uprzejmie i poprosił do swego gabinetu. W trakcie rozmowy powiedziałem, że z tego co wiem, w kraju potrzebna jest pacyfikacja nastrojów. Uważałbym za bardzo skuteczną receptę, gdyby do kraju wrócili ludzie, których kraj zna i do których kraj ma zaufanie. Na to pułkownik poprosił, czy byłoby możliwe za moim pośrednictwem na neutralnym terenie spotkanie z ludźmi, których mam na myśli, że on się z nimi dogada. Odpowiedziałem, że jako lekarz mogę receptę przepisać, ale wykonanie recepty nie należy do mnie. Przy pograżeniu prosiłem tylko, bym mógł najprędzej powrócić do kraju. Otrzymałem odpowiedź, że bez zapotrzebowania Marszałka Zymierskiego nie mogę być wysłany.

Wkrótce potem urządziliśmy z kilkoma oficerami sztabowymi wycieczkę do Wersalu i Trianon. Po powrocie do Wersalu na prośbę kolegów zwróciłem się do gospodarza amerykańskiego kasyna oficerskiego z prośbą, czy moglibyśmy dostać u nich kolację. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, kazał przystawić dla nas osobny stół. Nadmieniam, że w Paryżu angielski i amerykańskie kasyna oficerskie były pomieszczone w najprzedniejszych hotelach. Przy wejściu do tych kasyn widniały napisy: „Polskim oficerom wstęp wzbroniony”.

1 listopada przyszedł telegram od ówczesnego ministra spraw zagranicznych Rzymowskiego, adresowany do ambasady polskiej w Paryżu z prośbą o niezwłoczna ewakuację do kraju byłego jeńca wojennego pułkownika dra Henryka Trawińskiego.

1 listopada przyszedł telegram od ówczesnego ministra spraw zagranicznych Rzymowskiego, adresowany do ambasady polskiej w Paryżu z prośbą o niezwłoczna ewakuację do kraju byłego jeńca wojennego pułkownika dra Henryka Trawińskiego.

ne momenty, dodałem dla wzmocnienia kilka przymiotników, w których nasz polski język tak się lubuje i właśnie w tym momencie wrócił pan arbiter. Przeczytał, wprowadził jakieś drobne poprawki i poklepał mnie po ramieniu:

— A teraz niech pan to wytrząska na czysto, ale szybko. Portier już czeka!

Do domu wracałem szczęśliwy, nucąc „Marsza gladiatorów”, a nazajutrz rano, jak za szkolnych czasów, rzuciłem się na prasę. Zamieścił bez żadnych zmian: „Republika”, „Głos Poranny”, „Kurier Łódzki”, „Freie Presse”, „Neue Loedzer Zeitung”. Obie wieczorówki „Express” i „Echo” też dały bez skrótów.

— O żadnych poprawkach, czy skrótach nie ma mowy. Po to placimy gazetom stały ryczałt miesięczny, żeby tekst leciał bez zmian, jak każde inne ogłoszenie — ostudził mój zapal twórca pan Józef.

No i rozpoczęły się piękne dni Aranjuju pod brudnosną kopułą cyrku na Narutowicza. Brański chwalił mnie, ale wciąż nie dowierzał. Co wieczór kontrolował co napisałem i ciągle przypomniał:

— Najważniejsze to dokładność. Widz lubi porównywać to co widział na własne oczy z tym co czyta. Czytelnik chce wiedzieć kiedy i jak kto leżał, nie wolno pomylić chwytów, ludzie się na tym znają...

Na Narutowicza zjawiałem się o kilka minut wcześniej. Znałem już z widzenia część publiczności. Byli tacy co jak ja przychodzili tu każdego wieczora, chociaż bilety kosztowały do dziesięciu złotych. W sąsiedniej łozy zawsze zjawiała się pachnąca perfumami, cienka w talii jak osa, strojna, wytworna pani o fiołkowych oczach, żona znanego w mieście fabrykanta. Patrząc na arenę gryza

ze zdenerwowania batystową chusteczką. Mówiono, że przychodzi dla Szeckera, ale to chyba były plotki, bo piękna pani emocjonowała się każdą walką.

Ktoregoś dnia musiałem nagie wyjechać do Warszawy w rodzinnej sprawie. Jak powiedział o tym panu arbitrowi? Jeszcze gotów mnie zwolnić i stracę swoje stałe uposażenie.

Ale pan arbiter okazał się wyrozumiały.

— Wobec tego niech pan teraz napisze sprawozdanie, a ja sam już dopilnuję, żeby portier rozniósł maszynopisy do redakcji.

— Jak to... teraz?

— Śladaj pan i notuj.

— Nie rozumiem, panie arbitrze. Mam napisać sprawozdanie przed walkami? — wybaluszylem oczy.

— Powiem panu dokładnie, co będzie wieczorem w cyrku. Notuj pan...

Jeszcze nie wierzyłem, jeszcze myślałem, że arbiter kpi sobie ze mnie, ale gdy zaczął dyktować, jak zapihnotyzowany zrobiłem notatki i o dwunastej w południe, na sześć godzin przed rozpoczęciem zapasów, wytrząskałem sprawozdanie, opisując dokładnie nie tylko przebieg każdej walki, ale i każdej rundy. Nazajutrz, po powrocie z Warszawy, spytałem kolegę, który poszedł do cyrku na moje passe-partout, czy to co widział jest zgodne z tym co podaje prasa. Zapewnił mnie, że moje sprawozdanie jak zwykle jest dokładne i wierne...

Tegoż wieczora wynajdywałem różne okazje, żeby przedłużyć swój pobyt w pokoju hotelowym arbitra. Wreszcie wypalłem:

— Proszę pana, niech pan mi powie... Czy przed wojną... wie pan, u Cinissellego, też tak było jak teraz?

— A co pan myśli, że ja to wykombinowałem? Chyba poznał już pan publi-

czność. Im nie wystarczy jedna walka tych samych zapasników. Najpierw więc musi być remis, potem wygrawa jeden zawodnik, potem jego przeciwnik... a dopiero wówczas odlatza się decydująca, na którą komplet jest murowany!

— I ludzie nie domyślają się?

— Bo ja wiem? Niektórzy może i domyślają się, ale dobrze im z tym jak jest. Pamiętaj, młodzieńcze: ludzie lubią być oszukiwani i są oszukiwani. Mówi pan — Cinisselle... Pamięta pan Orłowa, tego z kózki brodka? Wyprawiał na arenie browerie, kłócił się z sędzią, stosował niedozwolone chwytty, pluł na publiczność, która mu się odwzajemniała zgnyłymi jajami. Znałem go, był potulny jak baranek, ale w każdym turnieju musiał się znaleźć jakiś brutal, którego publiczność nienawidziła. W grę wchodziły jeszcze inne momenty. Orłow był Rosjaninem, rozumie pan? A gdy pogorszyły się stosunki z Czechosłowacją, Orłowa złuzował inny brutal — Prohazka...

Brański widział, że sprawa mi bói. Odbierał mnie ze złudzeń dzieciństwa, pasiwił się nade mną!

— Król podwójnego nelsona Leon Grabowski — to mój wynalazek. Jego poprzednik Leon Pinecki zrobił furorę dzięki swemu wzrostowi, długim rękóm, no i rzekomo niezawodnemu nelsonowi. To był lechy zapasnik, ale chwycił. Gdy wycofał się z walki trzeba było znaleźć następcę. Wyszukałem Grabowskiego. Też Leon, górnik. Sciągnąłem go wprost z kopalni. O zapasach nie miał pojęcia, ale miał warunki zewnętrzne. Szybko nauczył się zakładać podwójny nelson, a my zafazyliśmy mu na skronie zwolnioną po Pineckim koronę...

— Drański — pomyślałem, patrząc na jego pełną, uśmiechniętą gębę.

— To samo było z maskami. Najpierw Czarna, która rzuciła wyzwanie wszystkim uczestnikom turnieju i zwyciężata po kolei każdego z nich, potem, kiedy się znudziła, zjawiała się Czerwona maska, która kładła na łopatki Czarną, zmuszając ją do zdemaskowania się i tak w kółko. A pan myślał, że to naprawdę!

Prysnął czar, ustępując miejsca wyrachowanej rzeczywistości. Dostrzegłem teraz jeszcze inne rzeczy, o których Brański widoecznie przez zapomnienie mi nie mówił. W soboty zawsze zwyciężali zapasnicy żydowskiego pochodzenia — Krauser, doskonale zresztą zbudowany, lub Poeschof. W sobotę kładł oni na łopatki nawet lepszemu od nich o całe niebo Teodora Szeckera. Ale w niedzielę i w inne dni tygodnia Szecker z nimi wygrywał. I Szecherbiński i Stibor i inni słabsi. Organizatorzy turnieju walk francuskich uwzględniali skrupulatnie narodowościowy skład publiczności.

Nie ciągnęło mnie już pod kopułę cyrkową na Narutowicza. Jaką mogłem mieć emocje, gdy z góry wiedziałem co się stanie na macie? Ale ze stałej tygodniówki nie chciałem zrezygnować, urządziłem się tylko sprytniej: sprawozdania pisałem na kilka dni naprzód. Brański nie przeciwko temu nie miał. Dziwna rzecz: teraz, kiedy wiajemniczy mi nie wszystkie machinacje tego lipnego przedsiębiorstwa, nie kontrolował tego co piszę. Nabral do mnie zaufania, traktował mnie już jako swojego.

I tak nadszedł ów pamiętny dzień.

Byłem jeszcze w domu, gdy zadzwoniono z rotacji.

— Niech pan zaraz przyjeżdża, pan redaktor Polak czeka na pana!

— Ale co się stało?

— Nie nie wiem, niech pan zaraz przyjeżdża!

Rotacja znajdowała się w głębi podwórza na Piotrkowskiej 64, mocna się było tam dostać również od ulicy Śienkiewicza 9, nawet miałem wtedy bliżej. Gdy znalazłem się w bramie, coś mnie szarpnęło za serce: już wiedziałem z całą pewnością, że nastąpił jakiś straszny kataklizm: maszyna rotacyjna milczała!

Na mój widok redaktor Polak przyskoczył do mnie, wymachując rękami!

— Co pan zrobił? No i co pan zrobił? Daj pan sprawozdanie z walki o dzień naprzód! Część nakładu poszła na miasto, płyty trzeba przelewać! Ja pana spławiał! Niech mi się pan przez tydzień nie pokazuje w redakcji!

No, tak. Pomyliłem rozkład jazdy; to co miało iść na czwartek, dałem już w środę portierowi do rozniesienia. W ten sposób czytelnicy dowiedzieli się o wynikach walk, które miały się odbyć dopiero nazajutrz! W innych redakcjach jakoś się skapowali i wycofali moje sprawozdanie, ale w rodzimym „Expressie” wierzyli mi widać na ślepo.

Wyrok szeffa był surowy, ale sprawiedliwy. Chyba pierwszy raz w życiu przyznawałem mu w duchu rację, nie wiedząc, że w najbliższej przyszłości, kiedy będzie się toczył dochodowy proces Gorgonowej, Maliszów, czy lwowski go wampira Cybulskiego, usłyszę z ust naczelnego o wiele surowsze i niesprawiedliwe wyroki. Ale na razie o tym nie wiedziałem: przeżywałem gorzko swą porażkę, leżąc z utkwionym w sufit wzrokiem na kanapie — na obydwu łopatkach...

* Z przygotowywanego do druku zbioru opowiadań pt. „REPORTER PRZED KONFESJONALEM”, czyli jak przed wojną robiono się w Łodzi gazecie.

ROBERT GLUTH

Strawa dla milionów

W jednym z ostatnich numerów warszawskiej „Kultury” red. Wilhelmowi zwrócił uwagę, nie po raz pierwszy, na przerażające, jego zdaniem, zjawisko, którym jest mialkość (to określenie robi oszalamiającą karierę) tzw. współczesnej „młodej prozy”. Istotnie, jeśli bym miał wręczyć mały nieobowiązkowy prezent komuś sympatycznemu, to nie kupowałbym jednego z wypracowań prozatorskich, o których tak trafnie pisał red. Wilhelm — kupiłbym natomiast skromnego „jannika” pióra Joanny Chmielewskiej, jeszcze mokrego od farby drukarskiej „Krokodyla z kraju Karoliny”.

Nie przywykło się (dziwna tradycja!) recenzować w czasopiśmie kulturalno-społecznych książek z gatunku kryminalnych. Tradycja o tyle dziwna, że o wielkim Simononie pisze się traktaty z okazji pięknej, małej książeczki o starym premierze — nikomu nie przyszło jednak do głowy czynić podobnie w wypadku „Pułapki” i dziesiątków innych utworów znakomitego kryminologa i pisarza w jednej osobie. Nie przywykło się i już. Korzystając jednak z tego, że mój naczelny wie, iż nie ma gatunków złych czy dobrych w beletryście — istnieją natomiast „chwały” i książki dobre — pomny, że nie tylko Simonon, ale w znacznej części przecież Max Frisch i ukochany mój Graham Greene tworzyli rewelacyjne a rewolwerowe „czytadła” — zachowując wszystkie proporcje, pozwalając sobie umieścić parę słów na temat rzeczono „Krokodyla”. Krótko mówiąc, pragnę uczynić wyłom w tradycji i napisać o 336 stron liczącym „czytadle” Joanny Chmielewskiej wydanym przez „Czytelnika” w nakładzie 80 tys. egzemplarzy, a opatrzonym schematycznym rysunkiem kota i znacznie większym jannikiem.

Rzecz jest niezmiernie przykra dla panów. Oprócz wielce szanowanego przez nas wszystkich, jednego z naj lepszych dziennikarzy polskich Krzysztofa Kąkolowskiego, żaden osobnik płci męskiej nie podjął się, jak do tej pory, napisania ambitnej historii kryminalnej w ciągu minionego 25-lecia. Nieporadność różnych Alexów i Randonów wywołuje wrażenie, że tym panom naprawdę chodzi o tzw. „ciaćki”, a nie o satysfakcję czytelnika. Książka kryminalna czy policyjna ma przed sobą przyszłość ogromną i stanowi strawę codzienną milionów czytelników. Mimo to nieporadność fabuły, brak rozmachu i fantazji oraz nieznośny „zapasek dydaktyczny” towarzyszy

naśladowaniu poczynaniom w tej dziedzinie.

Ludzie w moim wieku wspominają z lekka majstersztyki niejakiego pana Biggersa, który wprowadził do swoich książek niezapomnianą postać sierżanta Charlie Chana z Manili. Otóż Biggers potrafił zaspokoić gusty nawet wybrednych czytelników — dając poza fabułą, która powinna podlegać żelaznym prawom logiki — również coś jeszcze: postać literacką, żywą, pełną humoru, bardzo swobodną, trochę żalostną i nieprawdopodobnie ludzką.

Ale wróćmy do naszych owiec. Nie jest istotne, że Chmielewska podjęła się napisania książki policyjnej zgodnie ze wszystkimi regułami tego gatunku — nieistotne, że fabuła trzyma się kupy, posiada rozwiązania równie logiczne, co zaskakujące. To na dobrą sprawę daje się jeszcze jakoś zrobić. Jestem natomiast czytelnikiem książek kryminalnych i — poza kilkoma autorami — ogarniam mnie raczej smutek. Tymczasem Chmielewska ze swoim wyjątkowo uroczym dwojcem napełnia czytelnika wyłącznie satysfakcją.

Każdy posiada swoje hobby; ja dajmy na to wybrałem Adriatyku i Dunaju, gdzie bywałem nieraz, oraz Paryż, którego na oczy nie widziałem. Dla Chmielewskiej takim hobby jest Kopenhaga. Znam pewnego redaktora warszawskiej TV, który z Amsterdamu przysłał mi lakoniczną kartkę: „I tutaj się zawiodłem”. To strasznie nieszczęśliwy człowiek — jak widać z kartki. Chmielewska nie tylko, że zna Kopenhagę i wychodzi zwycięską ręką z takich szczegółów jak trasy i zmiana tras autobusów i nielicznych w tym mieście tramwajów, ale z pasją odnotowuje pozorne drobniaki: obyczajowość Duńczyków, przelecenia koron na złote polskie, a także osobliwość kopenhaskich wyścigów konnych, polegających na przenoszeniu biegów z Charlottenlund w inne miejsce, w zależności od pory roku.

Myliłby się ktoś, sądząc, że jest to tylko kryminał: to jest kapitalny, bardzo „babski”, wścibski i bardzo

życiowy reportaż z naszej stolicy i z zaprzyjaźnionego kraju, w którym, jak mawiał Szekspir, źle się ponoć dzieje.

Po tej lekturze odczułem, że derby końskie, to wielka namiętność, której chętnie w miarę środków się poddam. A w dodatku autorka podaje w sposób autorytatywny imiona i rodowody faworytów, ma swoją teorię o „fuksach” — nie zapomina na chwilę, że jest dziennikarką uczestniczącą w ogromnej grze, która pochłania dziesiątki tysięcy pasji, tak u nas na Służewcu, jak i w Charlottenlund.

Czemu tyle o koniach? Żeby dać małą próbkę „papura reporterskiego” tej autorki, która potrafi w pasjonujący sposób opisywać sprawy pozornie czytelnika nie interesujące i jednym celnym dwojcem zdoła jest scharakteryzować spotkanie człowieka. Sądzę, że „Krokodylem”, a właściwie jego autorką, powinna zainteresować się któraś z naszych agencji prasowych.

Rzecz cała dzieje się u Chmielewskiej między Warszawą a Kopenhagą, jest naturalnie trup, podejrzani, cały sztafaż policyjnych książek i — bagatela — międzynarodowy przeżył heroizm.

Celowo do napisania tych uwag wziąłem się po dwóch dokładnych „nacytaniach” wspomnianej książeczki, ponieważ uważam, że najbardziej popularna w społeczeństwie polskim literatura zasługuje na jakieś lepsze potraktowanie — zarówno ze strony „producenta” jak i „odbiorcy”. Trudno zostać w tym gatunku Simononem, bo w powieści kryminalnej jak w muzyce: prawie wszystkie tematy są już wyczerpane. Ale zrobić rzecz ambitnie, piękną polszczyzną, z dużym szacunkiem dla czytelnika, z kapitalnym humorem — to już zupełnie nowum w literaturze „wagonowej” przez wielkie „W”. Absolutnie nie interesuje mnie, czy pod nazwiskiem Joanny Chmielewskiej kryje się ktoś inny, bardzo znany, ale jest faktem, że swoje 80 tys. nakładu ten człowiek zrobił rzetelnie.



Radio i telewizja

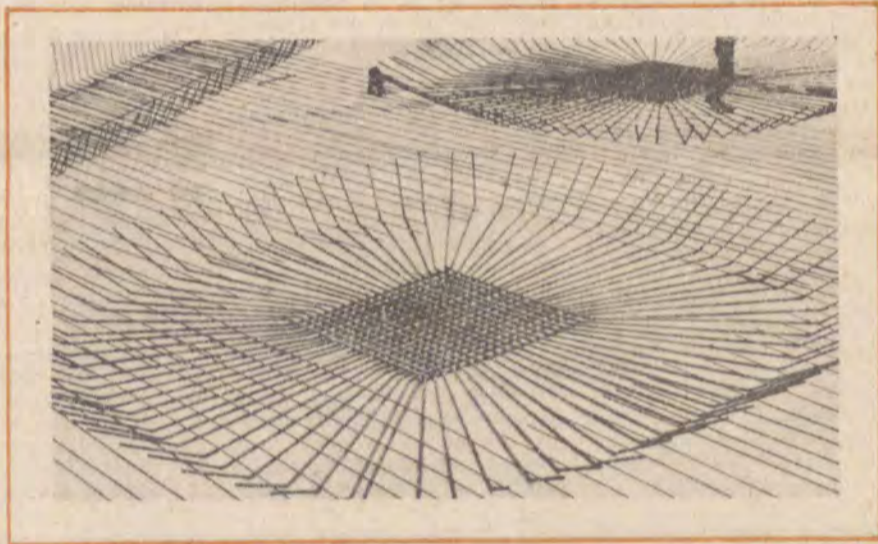
Zastępca bardzo lubi muzykę. Wszelką. Poważną i rozrywkową, klasyczną i współczesną, ludową i egzotyczną. Zastanawia się też często jaką rolę spełnia program muzyczny w telewizji, do kogo jest adresowany i jak odbierany. Zastępca podobnie jak większość ludzi ma duże doświadczenie, płynące ze słuchania muzyki w radiu. Po prostu dlatego, że radio jest wynalazkiem starszym, dłużej istnieje i więcej w tym względzie mogło zrobić, niż młodzika telewizja. W programie radiowym nadaje się bardzo wiele audycji muzycznych. Ale ze wszystkiego, co radio nam oferuje, Zastępca ceni najwyższe koncerty muzyki Chopinowskiej. Siada sobie w wygodnym fotelu, wygasza światło (pozostawiając jedynie zapaloną lampkę stolikową, a i to nie zawsze) i pogrąża się w słuchaniu istnego czarodziejstwa, jakim jest muzyka Chopina. Fakt, że nie widzi się fortepianu, grającego pianisty, publiczności i sali, w której koncert się odbywa, sprzyja naszej koncentracji. Słyszymy muzykę i nie więcej. Uwagi naszej nie absorbują i nie rozprasza żaden szczegół. Wrażenie, doznawanych w czasie radiowych koncertów Chopinowskich, nie mógłbym porównać z nieczym innym. Przypomnijmy mi one tyle radości i zadumy, budzą tyle asocjacji, tak bogaty stwarzają nastrój, że po prostu tęsknią do nich, a gdy koncertów tych nie ma — czujemy się zubożeni i brak mi czegoś bardzo istotnego w życiu.

A w telewizji? Słuchaliśmy kiedyś utworów Chopina w wykonaniu Witolda Małcużyńskiego. Było to piękne. Małcużyński gra przecież wspaniale, a i prezentuje się nienagannie. Ale właśnie patrzymy na jego ręce, na fortepian, przyglądamy się wyrazowi jego twarzy, kamery, dokonująca zbliżeń, zmusza nas do obserwowania różnych szczegółów i w pewnej chwili chwytamy się — na tym, że miast słuchać muzyki, zamieniliśmy się w obserwatora. Z pewnością nie z każdym tak się dzieje, ale Zastępca jest przekonany, że wielu widzów odbiera te programy podobnie jak on.

Uwagi powyższe nasunęły się Zastępcy w czasie Sopotkiego Festiwalu. Ilez jest tu do oglądania. Każdy piosenkarz, a zwłaszcza piosenkarka inaczej ubrana, inaczej uczesana, inaczej się zachowuje. Niektórym piosenkarzom towarzyszy mały zespół orkiestrowy, albo tylko muzyk-solista, niekiedy wspiera śpiewającego kilkunastoosobowy chór. Z przyjemnością przyglądamy się naszemu Henrykowi Debichowi, który dyryguje z werwą, obserwujemy publiczność, wśród której tyle różnych twarzy, zaciekawiają nas dekoracje, wejścia i zejścia wykonawców, konferansjerów. Tak, Festiwal Sopotki to przede wszystkim impreza widowiskowa. Więcej tu do patrzenia, niż do słuchania. Oczywiście Zastępca nie pisze recenzji z Festiwalu w Sopocie. Zrobi to na łamach „Odgłosów” specjalny wysłannik, red. Andrzej Makowiecki. Być może będzie on zupełnie innego zdania, niż autor tych słów. Przecież na koncerty do Filharmonii chodzi się po to, aby i słuchać i widzieć.

Więc Zastępca nie pisze recenzji. Zastępca spisuje refleksje na marginesie oglądanych w telewizji programów. Nie ulega kwestii, że najważniejszym wydarzeniem minionego tygodnia był Festiwal w Sopocie. Przemił on inne pozycje, warte obejrzenia. Na przykład „Pegaz” albo film z serii „Klub prof. Tutki”. Nawet ci, którzy nie odbierają specyficznego humoru Jerzego Szaniawskiego, przyznać muszą, że jest to zrobione znakomicie. Zastępca jest wielkim entuzjastą twórczości autora „Zeglara”, więc z przyjemnością najpierw czytał a teraz ogląda zekranizowane opowiadania prof. Tutki. Tym więcej, że gra tę rolę Gustaw Holoubek. Ale tu muszę wyznać, iż wolałbym prof. Tutkę nieco starszego, niechby nawet z bródką. Byłaby to postać bardziej charakterystyczna i jakby nie z tego świata. Bo w końcu taki ten prof. Tutka jest: trochę dziewiętnastowieczny, trochę dziwak i fantasta. Ale niech tam! Najważniejsze, że możemy go oglądać na ekranie telewizyjnym w każdej niedzielę.

ZASTĘPCA



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Film „POMYLKA SZPIEGA” mimo iż zaliczony został do gatunku dramatu sensacyjnego, nie porywa widza wątkiem fabularnym. Nie ma tam nic z

mrozących krew w żyłach, zaskakujących i nadzwyczajnych wydarzeń, nie z tak typowego dla tego gatunku filmów elementu sensacji, niespodzianki i grozy. Reżyser Władysław Dorman zrezygnował z tych wszystkich urozmaiceń na korzyść rozbudowania i pogłębienia stanów psychicznych swych bohaterów.

Film ten jest ekranizacją powieści O. Szmielowa i W. Wostokowa, noszącej tytuł: „Ostatnia pomyłka rezydenta”. Jednakże filmowa wersja nie jest wierną kopią swego powieściowego pierwowzoru. I tak np. postać Dembowicza zdrójca, człowieka bezwartościowego i małodusznego w interpretacji Olega Zakowa urasta do postaci tragicznej; to człowiek, który zaszedł w ślepią uliczkę bez wyjścia i możliwości powrotu. Dembowicz w filmie świadom beznadziejnej sytuacji w jakiej się znalazł, sam odbiera sobie życie; wg wersji książkowej zostaje zamordowany. Nie

na próżno czekali realizatorzy filmu na Olega Zakowa ponad dwa miesiące, ponieważ przebywał on we Włoszech, gdzie brał udział we włoskim filmie „Siedmiu braci Cervi” w roli ojca.

Wszystkie postacie występujące w „Pomyłce szpiega”, nie wyłączając samego szpiega Zarokowa (grał go Georgij Zzenow), nie są negatywne. To ludzie rozumni i czuli, a jeśli nawet postępują niewłaściwie, nie przychodzi im to bez wewnętrznych oporów i konfliktów.

„Pomyłka szpiega” nie jest filmem łatwym w odbiorze. Widz musi obserwować nie tylko ciągłe przemiany duchowe bohaterów, ale w dodatku niesłychanie skomplikowany i niejasny wątek fabularny, bowiem treść tego filmu jest, niestety, nieco zagmatwana. Na pewno wiadomo, że jest to film mówiący o pracy radzieckiego kontrwywiadu. Obcy agent pod pseudonimem

„Nadzieja” przedostaje się na teren ZSRR i zamieszkuje u byłego agenta niemieckiego wywiadu, Dembowicza. Celem jego zabiegów jest zdobycie dla swych mocodawców próbek wody i ziemi z domniemanego ośrodka atomowego w Nowotrublisku. Ale szpieg Zarokow w trakcie spełniania swej misji popełnia fałszywy krok i zostaje zamaskowany. Niestety, akcja filmu wbrew intencjom twórców jest bardzo niejasna, zawila, o nie zawsze uzasadnionych wydarzeniach. Chwilami widz w tej całej gmatwaninie gubi wątek przewodni.

Jak już wspominałam, nie jest to film porywający i przeciętnie odbiorcą z pewnością zmęczy, chyba że odbiorcą będzie tak jak to proponują jego realizatorzy — „Pragnęliśmy pokazać wycinek działania radzieckich kontrwywiadców bez upiększeń, zgodnie z prawdą. Toteż nasi bohaterowie nie spo-

tykają się z morderstwami czy strzelaniną; film nie trzyma widza w napięciu właściwym temu gatunkowi. Chcielibyśmy rzucić światło na codzienną pracę czekistów, wymagającą ogromnego wysiłku, wielkiej odwagi, miłości ojczyzny. Interesuje nas nie tylko proces unieszkodliwiania agentów, ale i praca profilaktyczna z ludźmi zwerbowanymi przez zagraniczny wywiad, początkowo nie orientującymi się o co chodzi. Nasz kontrwywiad, nie tylko skrupulatnie śledzi każdy krok agenta i wykrywa jego kontakty w Związku Radzieckim, ale poddaje go nieustannej „obróbce” psychologicznej.”

W ZSRR „Pomyłka szpiega” cieszy się dużym powodzeniem, dlatego też jego realizatorzy podjęli pracę nad drugą częścią filmu, mówiącą o dalszych losach szpiega Zarokowa i pokazującą jego dalszą wewnętrzną przemianę.

* * *

„ZEMSTA HAJDUKÓW” stanowi trzecią część z serii przygodowych filmów reżyserii Dinu Cocea obok „Hajduków” i „Porwania dziewczyny”. W „Zemście hajduków” występują ci sami główni bohaterowie, a jeden wątek jest kontynuacją następnego.

Dinu Cocea lokalizuje akcję swych filmów na przełomie XVIII i XIX w w księstwie Wołoszczyzny, rządzonej wówczas przez okrutnych i grabieżczych panów greckiego pochodzenia, ra-

bujących bezlitośnie miejscową ludność. W takiej sytuacji zrodził się wśród tego ludu marzenia o swym własnym, narodowym bohaterze. Anglia miała swego Robin Hooda, pięknego, szlachetnego, niemal cudotwórcę. Dziki Zachód miał swego Winnetou i innych nie mniej walecznych wódzów. Każdy kraj ma swego Robin Hooda. Ale chyba nikt z tych bohaterów nie jest tak ściśle zespolony z ludem, wywodzący się z niego samego i uznający jego wymiar sprawiedliwości, jak legendarni bohaterowie krajów bałkańskich — „hajducy”.

W „Zemście hajduków” jest zaznaczony kulminacyjny moment całej serii. Książęta i wielcy posiadacze giną, często mordując się wzajemnie. Tak właśnie umiera na pokładzie austriackiego statku handlowego żona księcia Hangerli, zamordowana przez Marię, córkę skarbnika Dudescu, która zamiast oczekiwanego miliona znajduje w kasecie tylko głowę księcia. Na tym samym statku znajduje się gromada porwanych ze wsi chłopów, przeznaczonych przez paszę Pazvanoglu na dar dla stambulskiego sultana. Na wieść o tym hajdu-

cy postanawiają odbić skradzione dzieci. Oczywiście, jak w każdym filmie tego typu wszystko kończy się dobrze, zło zostaje ukarane, a dobro zwycięża.

Ten kostiumowy, barwny, przygodowy film z pewnością zainteresuje widzów lubiących oglądać kolorowe, rozległe krajobrazy i śledzić liczne, brawurowe przygody filmowych bohaterów. Stroną ujemną filmu jest zbyt powolne tempo akcji, co powoduje, że film zamiast trzymać w napięciu, często powoduje znużenie. Również aktorzy nie wydo-

bywają z kreowanych przez siebie postaci wszystkich możliwości. I tak, zamiast prawdziwych z krwi i kości „hajduków”, będących symbolem buntującego się ludu, widzimy na ekranie martwe, papierowe kukiełki, zbyt idealne, doskonale piękne i nieugięte.

A dzisiaj tacy koturnowi zwycięzcy są tolerowani może tylko przez młodzież, jednak widz dojrzał woli bohaterów bardziej ludzkich.

MIECZYSLAWA WALCZAK

POŻEGNANIE

(Dokończenie)

— Nie. Po tym telefonie zabrałem Eileen do samochodu, zawiozłem ją do restauracji, a on stwierdził, że nigdy jej nie widział. Przyjaciółka Dorknessa nie jest blondynką.

— Dziś kobiety używają także peruk. Czy pomyślałeś o tym Max?

— Pomyślałem. Sądzę teraz, że powinienem się zainteresować więcej o tym złośliwym no wotworem, który wykonał mię za pani Osborn. Nie zapominajmy o tym, że nasza blondynka uniemożliwiła nam analizę zawartości żółtka Dorknessa.

Następnego dnia doktor Coffee przeprowadzając badania nad zwłokami Dorknessa wykrył, że komórki wątroby, nerek i mózgu wykazują pewną charakterystyczną ilość skupisk tłuszczu. Natychmiast zatelefonował do Rittera.

— Max, musisz przesłać wszystkim sklepy w dzielnicy Eileen Osborn, aby przekonać się, kto w tym miesiącu kupował truciznę na myszy Twój Dorkness zmarł z powodu zatrucia fosforem.

— Zartujesz chyba, Dan. Czy wydaje ci się możliwe, żeby ktoś połknął truciznę na myszy i nie zauważył tego?

— Fosfor ma smak i zapach czosnku. Podstawą ostatniego obiadu Dorknessa był makaron. Założmy, że w tym czasie, kiedy przyniesiono makaron do stołu, przyjaciółka Dorknessa wysłała go, żeby wykonał dla niej jakieś polecenie. Nie wiem jakie, mogło to być na przykład przyniesienie chusteczki, albo kupienie papierosów. Jak sądzisz?

— Mogło tak być. Porozumiem się z tobą później.

Po kilku godzinach Ritter zatelefonował akurat w tym momencie, gdy doktor Coffee zamykał już swój kram. W głosie Rittera czuło się podniecenie, mówił szybko: — Dan, przyjeżdż natychmiast do wdowy Osborn! Znalazłem drogerzystę, który sprzedał truciznę na myszy.

Przed domem Eileen Osborn stały dwa samochody policyjne, a w szeroko otwartych drzwiach dyżurował umundurowany policjant. Gdy doktor Coffee wszedł do mieszkania, zobaczył Eileen zapłakaną, z podpuchniętymi oczyma. Siedziała na tapczanie głośno wycierając nos.

— Przychodzisz o minutę za późno, doktorze — oznajmił Max Ritter — Przed chwilą pogotowie ratunkowe zabrało stąd Priscillę Pine. Drogerzysta zidentyfikował ją jako osobę, która nabyła u niego truciznę na myszy w ubiegłym tygodniu.

— Priscilla przyszła do mnie — opowiadała Eileen — wręczyła mi ten list i zaraz upadła na podłogę. — To mówiąc Eileen podała kopertę doktorowi.

Patolog wyjął kartkę: „Najdroższa Eileen, wybac mi. Nie mogę znieść myśli, że policja podejrzewa cię o zabójstwo Dorknessa. Mój mąż przyjeżdża dziś wieczorem, nie znajduję odwagi, aby się przyznać. Byłam głupia i szalona, Eileen. Fakt, że często pozostawałam przez długie okresy sama nie wystarczy przecież, aby mnie usprawiedliwić. Pewnego wieczoru siedziałam w barze portu lotniczego oczekując samolotu, którym mój mąż wracał z Chicago. Do mojego stolika przysiadł się jakiś przystojny mężczyzna. We soła rozmowa skracała mi oczekiwanie, które się przedłużało. Najpierw oznajmiono nam, że przyłot został opóźniony, na-

stępnie — że w ogóle nie przyjeżdża. W międzyczasie wypiliśmy trochę za dużo whisky.

Przygodna znajomość ciągnęła się dalej. Za każdym razem gdy Joe udawał się w jedną ze swych ciągłych podróży, „potykałam się z Dorknessem. Już wkrótce stało się dla mnie jasne, że popełniłam tragiczną pomyłkę. Człowiek ten był szantażystą. Gdy próbowałam się uwolnić od niego, zagroził mi że pójdzie do męża. Na szczęście, nie podałam prawdziwego nazwiska. Tego tragicznego wieczoru śledził mnie po wyjściu z restauracji. Wziął inną taksówkę. Przebac mi, droga Eileen! powiedziałam szoferowi, żeby zatrzymał się przed twoją alejką. Wsunęłam się przez twoje drzwi wejściowe, jak to czyniłam, gdy cię wielokrotnie odwiedziłam. Wówczas wieczorem postanowiłam raz na zawsze pozbyć się tego szantażysty, a on przywłókł się do twego domu, myśląc, że to mój.

Drogerzysta telefonował do mnie przed chwilą, aby mnie ostrzec, że policja jedzie do mego domu. Nie czuję się na siłach, żeby się spotkać z mężem... nie mogę! Pozostało mi jeszcze trochę tej trucizny...

To wszystko wyda ci się zapewne nie do wiary, zupełnie różne od tej Priscilli, którą znałaś. Dlatego kończę list słowami „Zegnaj”.

— Czy pani jest pewna, że to pisała Priscilla? — zapytał Ritter.

— Tak, o tak! — Eileen wytarła oczy koronkową chusteczką. Ritter chrząknął z niesmakiem. — Myślałam, że tylko blondynki mogą wykombinować coś takiego — westchnął.

— Mówisz głupstwa Max — zaoponował doktor Coffee. Czy nie słyszałeś o brunecie imieniem Salome, z powodu której pewien Jan stracił głowę? A co powiesz o Kleopatrze?

OPRAC. A. S.



Lewym okiem

WIELKA GRA!

Bardzo często zdarza się, że skłócone ze sobą osoby, małżeństwa, instytucje, ba — całe narody! — robią co tylko można, żeby na zewnątrz wywierać wrażenie wielkiej przyjaźni, zgody i miłości. I może nie wszyscy wiedzą, że bywają też przypadki całkiem odwrotne: strony zgadzają się ze sobą, ale ponoszą niemąły wysiłek, żeby przekonać świat o wzajemnym wrogu, nieprzejednanym stosunku.

Właściwie chodzi nie o przekonanie świata, tylko przekonanie władz. Gra o wysoką stawkę — uzyskania życiowej aprobaty i pochwały ze strony władz — nazywa się w biurokratycznym żargonie ping-pong i polega na wzajemnym podrzucaniu sobie piłeczki.

Powiedzmy, że przemysł nie może wykonać dziesięciu milionów par szelek; ponieważ (ciągłe operuję przykładem fikcyjnym, reklamacji nie przyjmujemy!) na rynku brak szelek i niektórych panom przy kioskach z piwem spodnie wi-

szą już poniżej groźnej linii demarkacyjnej — odnośną centralę handlową obwinia się o nie dość energiczną walkę o szelki. „Nie bijecie się o szelki, dlatego nie ma”. Wobec tego centrala zaczyna się bić i rozgłasza wszem wobec, że rynek szelkowy będzie dopiero wtedy szczęśliwy, kiedy „rzuci się” nań dziesięć milionów par. Centrala przy tym doskonale wie, że ani przemysł tyle zrobić nie może, ani handel tyle nie sprzeda. Zaczyna się ping-pong.

Młodzież w sferach znuudzonych milionerów amerykańskich podobno wymyśliła taką grę: sia da dwóch zawodników za kierownicami wozów i jadą wprost naprzeciw siebie. Przegrywa ten, kto nie wytrzyma nerwowo i pierwszy naciśnie hamulec. Czasem obaj wygrywają, czyli idą do szpitala. Podobnie bywa w naszych rozgrywkach szelkowych i innych: kto nie wytrzyma nerwowo?

Przemysł nie przyzna się za nic, że nie wykona dziesięciu milionów par.

Wykona, tylko że handel nie zakupi.

Handel: potrzebuję, żądam, zakupię.

Przemysł: śmieszne żądanie, ale proszę bardzo, zrobimy, nie kupicie.

I cała zabawa polega na tym, że handel wymyśla takie rodzaje szelek, jakich nikt nigdzie na świecie by nie wyprodukował, i leci pismo za

pismem do władz: proszę, nie przyjmują zamówień.

Zaś przemysł oferuje takie rodzaje szelek, jakie nigdzie do żadnych spodni by nie pasowały, i leci pismo za pismem do władz: proszę, nie kupują!

A po godzinach pracy dyrektorzy obu stron spotykają się przy brydżu i zgadzają się ze sobą, od pierwszego słowa:

— dziesięć milionów to pięć razy za dużo („Ale jak mnie atakują, to rozumiesz: muszę zjadać!”)

— przemysł może zrobić najwyżej półtora miliona i to całkiem zwyczajnych, bez cudów i mo że nawet bez sprzączek („Ale jak mi dadzą fundusze na inwestycje, ludzi, fundusz plac, materiał i kredyty, to czemu nie? Dlaczego miałbym nie zrobić? Wszystko można zrobić...”)

Każde pismo, jak wiadomo, kieruje się w sześć ciu — siedmiu odpisach do różnych instytucji, żeby wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Każda z sześciu — siedmiu instytucji zażąda dodatkowych wyjaśnień, a potem wyjaśnień strony drugiej, a potem wspólnych wyjaśnień. Do wyjaśnień będą przypięte załączniki analityczne, wykazujące jak na dłoni, ile było, nie było, mogło być, nie mogło być i tak dalej. Wielu urzędników ma co robić. Co robić? Dobrze wrażenie. Wrażenie, że handel się bije, a przemysł staje na głowie żeby dogodzić.

Wszyscy mają rację. Kropka.

ĆWIEK